Pod niebem Kaukazu

Opowieści sentymentalnego Tatara

Sulejman Mucharski

Pod niebem Kaukazu

Opowieści sentymentalnego Tatara



Muzułmański Związek Religijny w Rzeczypospolitej Polskiej
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie

Wrocław 1448/2026

Pod niebem Kaukazu. Opowieści sentymentalnego Tatara

Redakcja i opracowanie:
Musa Çaxarxan Czachorowski

Korekta:
Barbara Pawlic-Miśkiewicz

Redakcja techniczna:
Robert Błaszak

Wydawca:



15-207 Białystok, ul. Piastowska 13 F
(+48) 605 612 137
mzr@mzr.pl, www.mzr.pl

© Copyright by Muzułmański Związek Religijny w RP
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie, 1448/2026

Wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65802-58-3

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza ARGI
ul. Wodzisławska 16
52-017 Wrocław

Musa Çaxarxan Czachorowski

Tatarski pisarz

Niewielu mamy Tatarów parających się twórczością literacką, a ich dorobek, gdyby nie działalność wydawnicza Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP, pozostałby najprawdopodobniej nieznany. Oto trzech autorów urodzonych na Kresach, mających za sobą służbę wojskową, pomimo różnicy lat doświadczających zbliżonych przeżyć, piszących bardziej z potrzeby ducha niż dla zaspokojenia jakichkolwiek wygórowanych ambicji. Najmłodszy z nich to Jan Jachja Sobolewski (1925–2018), żołnierz II wojny światowej, ciężko ranny pod Królewcem, mieszkający do śmierci w Białymstoku. W roku 2014 opublikowane zostały jego *Żołnierskie wspomnienia*, następnie w roku 2019 zbiór opowiadań pt. *Z opowieści mojej matki*. Kolejnym jest Mustafa Abramowicz (1915–2018), ułan Września 1939, żołnierz Armii Andersa, osiadły po wojnie i zmarły w Manchestrze (Wielka Brytania). W roku 2016 wyszła *Droga mojego życia*, w której opisał swoje niełatwe losy. Tak dochodzimy do Sulejmana Mucharskiego (1900–1986), najstarszego z tej trójki, będącego w wojsku przed wojną i po wojnie, zamieszkałego i pochowanego w Warszawie. Napisał *Niedokończoną tatarską opowieść*, która ukazała się w roku 2015, parę opowiadań trafiło do zbioru *W czasie i przestrzeni* z roku 2024, gdzie znaleźli się również autorzy z Azerbejdżanu, Inguszetii, Kazachstanu i Tatarstanu. Już pośmiertnie publikował w tatarskich czasopismach: „Życiu Tatarskim", „Przeglądzie Tatarskim" i „Roczniku Tatarów Polskich". Teraz opowiadania Sulejmana Mucharskiego weszły w skład kolejnej książki: *Pod niebem Kaukazu. Opowieści sentymentalnego Tatara*, będącej zwieńczeniem pisarskich dokonań tego wrażliwego obserwatora rzeczywistości, skłonnego do uniesień, a nawet egzaltacji.

Sulejman Mucharski urodził się w Ostrynie (obecnie na Białorusi) 20 lipca 1900 roku jako syn Bekira i Tamiry z Milkamanowiczów, co zostało zapisane w księdze metrykalnej meczetu parafialnego w Niekraszuńcach przez pełniącego obowiązki mułły Aladyna Radeckiego. W tamtych okolicach Tatarzy zamieszkiwali już od wieku XIV, gdy nadania ziemskie otrzymał Aziubek Sołtan, dając początek rodowi Ostryńskich, o którym głucho po zubożeniu w XVII wieku. Jednak młody Tatar wcześnie opuścił rodzinne strony i wyruszył w świat, aby zdobyć wykształcenie i doświadczenie. Podróżował po Gruzji i Azerbejdżanie, spędził jakiś czas we Francji. Obserwował i poznawał ludzi, ale raczej nieśmiały z natury nie nawiązywał z nimi bardziej poufałych kontaktów. Bliższa była mu przyroda i rozważania o charakterze egzystencjalnym. „Czymże jest życie, jak należy żyć?" – zastanawiał się wielokroć, osamotniony i zgorzkniały.

Od dzieciństwa czuł pociąg do koni oraz mundurów. Nic więc dziwnego, że po powrocie do niepodległej ojczyzny wstąpił do szkoły oficerskiej. Został saperem, jednak z czasem pojawiło się i narastało rozczarowanie wojskiem i kolegami oficerami. Pogarszający się stan zdrowia spowodował, że zwolniony został do cywila. Po wybuchu wojny usiłował dostać się na front, ale utknął w rozgardiaszu tragicznych wydarzeń. Rozgoryczony i zdezorientowany powrócił do swego domu w Legionowie nieopodal Warszawy, gdzie zamieszkiwał przez lata okupacji. Angażował się w działalność konspiracyjną, podobnie jak Natalia Drzewoska, która po wojnie została jego żoną. W lipcu 1945 roku, w stopniu kapitana, ponownie przywdział wojskowy mundur. Kierował m.in. akcją rozminowania Półwyspu Helskiego. 16 kwietnia 1947 roku „za wybitne zasługi położone w akcji przeciwpowodziowej" został odznaczony (po raz drugi) Srebrnym Krzyżem Zasługi. Po przejściu na emeryturę, co nastąpiło zapewne pod koniec lat 50. lub na początku 60. minionego wieku, mieszkał wraz żoną w Warszawie, przy ulicy Raszyńskiej 56 mieszkanie 17. Zajął się wówczas spisywaniem swych wspomnień, opowiadań, humoresek i makabresek, jak je nazywał, oraz rozmaitych artykułów.

W niniejszej książce publikujemy dziesięć opowiadań Sulejmana Mucharskiego: *Baku, walka i miłość*, *Pod niebem Kaukazu*, *Kanarek*, *Podróż donikąd*, *Kura*, *Białe róże (tryptyk okupacyjny)*, *Wąska uliczka*, *Metamorfoza*, *Parasol* oraz *Kotek*. Niektóre wiążą się z pobytem na Kaukazie, inne dotyczą już cza-

sów powojennych i nawet jego służby wojskowej. Ukazują dużą wrażliwość Autora, jego zmysł obserwacji oraz skłonność do dość drobiazgowego analizowania ludzkich zachowań. Mucharski opisuje zależności zachodzące między bohaterami swoich opowiadań oraz zmiany, jakie dokonują się w nich pod wpływem rozmaitych przejść. Mamy więc *Białe róże*, ciekawe studium zaczynające się dramatyczną sytuacją podczas wojny, a kończące nader niespodziewaną rozprawą sądową. Zaskakujący jest *Kotek*, opowieść niczym z kronik kryminalnych albo medyczna relacja dochodzenia do szaleństwa i zbrodni.

Do wojennych przeżyć odwołuje się opowiadanie *Podróż donikąd*, historia kobiety wciąż oczekującej na męża zamordowanego przez Niemców. Wsiada do pociągu, przejeżdża dwie stacje, wraca i przeprasza nieżyjącego, że znowu do niego nie dojechała. Uwagę zwraca delikatność, momentami nawet czułość Autora w opisywaniu postaci i wydarzeń. Podobnie jest w romantycznym opowiadaniu *Wąska uliczka*, gdzie z sympatią i życzliwością przedstawia młodych zakochanych. Czasem wszakże są to historie tragiczne, łączące się z nieszczęśliwą miłością, niespełnieniem i zdradą, jakie znajdziemy np. w *Baku, walka i miłość* oraz *Pod niebem Kaukazu*. Bez wątpienia wiele z tych doświadczeń opiera się na osobistych przeżyciach Sulejmana Mucharskiego z okresu jego pobytu na Kaukazie. Te najwcześniejsze opowiadania pozostają pod wyraźnym wpływem rosyjskiej literatury przełomu XIX i XX wieku, co w mniejszym lub większym stopniu przejawia się właściwie w całej twórczości polskiego Tatara.

Nie stroni Mucharski od humoru i to nawet odrobinę abstrakcyjnego, jaki zaprezentował w opowiadaniu *Parasol*: dwie kobiety, dwa parasole, jeden mężczyzna – komedia pomyłek wywołana zazdrością. Inny rodzaj żartu znajdziemy w *Kanarku*, osadzonym w gruzińskich realiach zapewne z początków minionego stulecia. Warto ponadto zwrócić uwagę na opowiadanie *Kura*, jako jedyne w tym zbiorze odnoszące się do powojennej służby wojskowej Autora: w miasteczku nocują saperzy, którzy zajmują się rozminowaniem okolicy. Kapitan zjadł rosół i pochwalił, a gospodyni zgłosiła kradzież kury. Sprawcy nie wykryto, trzeba było zapłacić…

Znamienne, że w żadnym z tekstów Sulejmana Mucharskiego nie znajdziemy jakichkolwiek odniesień tatarskich. Jedynie w opowiadaniu *Baku,*

wojna i miłość wspomniani są Tatarzy, tak naprawdę będący Azerbejdżanami. W jakimś stopniu potwierdza to fakt, że po opuszczeniu rodzinnych stron w bardzo młodym wieku nie utrzymywał kontaktów z pobratymcami w kraju. Nie nawiązał ich także po powrocie. Doszło do tego dopiero po zakończeniu służby wojskowej, w dodatku w bardzo ograniczonym zakresie. Jego twórczość nie jest w gruncie rzeczy szczególnie wysokich lotów, chociaż nie brakowało mu talentu literackiego, zmysłu obserwacji i uczucia. Był żołnierzem, ale pozostanie w naszej świadomości jako pisarz. Tatarski pisarz.

Baku, walka i miłość

Po raz pierwszy w życiu spotkały się na twardej ławce wagonu. Siedziały obok siebie niczym dwie wystraszone młode kuropatwy pod miedzą. Chwilami nieufnie zerkały na siebie, unikając jednak spojrzenia prosto w oczy. Bez wątpienia każda z nich starała się rozeznać, co też popchnęło tę drugą nie tyle do podróży, co ucieczki z rodzinnych okolic na Kaukaz, który znały wyłącznie z romantycznych opowieści. Instynktownie wyczuwały wspólną troskę nie tyle o przyszłość ojczyzny, co raczej o własne życie. Nie były wszakże wyjątkiem w tym pociągu, załadowanym ludźmi w podobnym położeniu.

W zbrojnych rozgrywkach o władzę obie straciły rodziców i samotne znalazły się na rozdrożu. Ich dziecięce i młodzieńcze marzenia zostały brutalnie podeptane. Walka czerwonych z białymi jawiła się im jako coś niesamowitego, ociekającego krwią, wyjątkowo brutalnego. Czuły do niej tylko niepohamowany wstręt. Z nastaniem nocy zmęczenie podróżą nasiliło się. Ludzie drzemali w różnych pozycjach, kiwając się w takt uderzeń kół pociągu. Głowy młodych kobiet zaczęły mimowolnie skłaniać się ku sobie, stopniowo opadać i wreszcie zetknęły się we śnie, tworząc dziwną bezkształtną figurę.

Obudziły się o świcie, uśmiechnęły do siebie zmęczonymi, zwężonymi oczami i od tego momentu zostały przyjaciółkami. Nie było ważne, że różniły się wyglądem i charakterem w takim stopniu, jak może różnić się dzień od nocy albo księżyc od słońca. Lena była wysoka i smukła, jej pociągłą twarz otaczały długie włosy koloru kasztanów. Mówiła niewiele, słowa wychodziły z jej ust jakby z pewnym trudem. Zazwyczaj milczała z nieruchomym wzrokiem i wtedy przypominała Giocondę.

Druga kobieta, Ola, była średniego wzrostu, twarz miała pogodną, raczej okrągłą i rumianą, włosy jasne, prawie słomkowe. Wyglądała na Ukrainkę,

chociaż była rodowitą moskwiczanką. Jej ożywienie podkreślało odmienność charakteru i uzupełniało cichą, spokojną Lenę. Jeśli milczenie rzeczywiście jest złotem, to Lena stanowiła najprawdziwszy kruszec, zaś Ola żywe srebro. Rozmawiały o swych dziewczęcych marzeniach, w których jedna pragnęła zostać aktorką, druga natomiast malarką. Wojna i rewolucja starły na proch ich dążenia i postawiły przed nimi jedyny cel: za wszelką cenę ocalić życie. Całe myślenie obu młodych kobiet zdominowane było wychowaniem w rodzinach wyższych carskich urzędników. Nie przychodziło im do głowy, że można opowiedzieć się po jednej lub drugiej stronie.

Zajadając skromne zapasy i opowiadając o przeszłości, dojechały do Rostowa nad Donem. Osobowy pociąg dalej już nie jechał. Skorzystały z okazji, aby zobaczyć miasto, które znały jedynie z lekcji geografii. Przypadły im do gustu proste ulice i kolorowe domy w południowym słońcu. Wieczorem wróciły na dworzec i niespodziewanie udało się im znaleźć miejsce w towarowym pociągu przystosowanym do przewożenia rannych i chorych żołnierzy. Postanowiły udać się do Baku.

Lena i Ola leżały na twardych pryczach, ciężko oddychając rozgrzanym za dnia powietrzem. Nadstawiały twarze ku małym górnym okienkom, starając się łapać świeży powiew z zewnątrz. Niewiele to pomagało, w wagonie pachniało tropikiem, istna palmiarnia. Wszystkim podróżnym twarze ociekały potem. Na każdej stacji, podczas długiego oczekiwania na wolną drogę, ludzie ostatkiem sił wychodzili z wagonów i układali się przy torach, dysząc na wpół otwartymi ustami. Na dzwonki, gwizdki i okrzyki zrywali się, ładowali do środka, a wtedy lokomotywa, ciężko posapując i zgrzytając, z trudem rozpędzała się w coraz bardziej pustą przestrzeń.

Teren za oknem zmieniał się co kilkanaście kilometrów. Stawał się coraz bardziej szary i jednolity. Coraz rzadziej pojawiały się stacyjki o płaskich dachach i niewielkie osiedla rozsiane niczym ptasie gniazda w skałach, ale na peronie gwarno i wielojęzycznie. Wielkie futrzane czapy, zarośnięte po oczy twarze. Wzrok raczej nieprzychylny i prowokujący.

Noc przynosiła pewną ulgę. Żółto-złota tarcza księżyca skakała jak piłka w równej linii z pociągiem. Nad ranem zaś zabłysła wstęga błękitu, oznajmiająca brzeg Morza Kaspijskiego. Gorące powietrze wytracało swoją moc i coraz wyraźniej dawało się odczuć bliskość wody. Oto Machaczkała, główne

miasto Dagestanu. Lezgini w strojach narodowych z kindżałami przy szczupłych taliach. Postój miał być tu dłuższy i po raz pierwszy od kilku dni pasażerowie mieli możliwość choćby pobieżnego obmycia rąk, nóg oraz twarzy. Większość brodzi w wodzie i cieszy się jak dzieci, których w ogóle nie obchodzi przyszłość. Ludziom nie trzeba dużo do radości, żeby tylko nie zagłębiali się zbytnio w sens życia.

Ola była przedsiębiorcza. Przyprowadziła do wagonu wysokiego przystojnego Ingusza, który również wybierał się do Baku. Znał dobrze to miasto. Przedstawiła go Lenie i dalej pojechali już razem.

* * *

Od kilku miesięcy Tatarzy i Ormianie strzelali do siebie przez rzekę. Ormianie zza ułożonych na swoim brzegu worków z piaskiem, Tatarzy z okien murowanych domów nadbrzeżnych lub po prostu zza pierwszych lepszych głazów. Obie wrogie części miasta łączył jedyny most, używany przez nieliczną ludność różnego pochodzenia, zachowującą neutralność w odwiecznej nienawiści dwóch najliczniejszych narodowości. Po ogłoszeniu niepodległości burżuazyjnych republik zakaukaskich, Tatarzy w tym mieście uważali się za prawowitych gospodarzy i w zasadzie mieli słuszne prawo do rozbrojenia Ormian. Z drugiej zaś strony w tej walce nie chodziło o zdobycze terytorialne. Obie strony broniły własnego życia. Ulec – oznaczało ewentualne poderżnięcie gardła zwyciężonemu. Niekoniecznie tak musiałoby być, ale w to wierzono i ta wiara utrzymywała dyscyplinę oraz bojowe morale w ormiańskiej części miasta.

Tatarom zależało przede wszystkim na zdobyciu broni i amunicji, w tamtym okresie droższej od chleba, który zresztą był zastępowany ryżem. Przyszła stolica Azerbejdżanu była w rękach obcych, których można było wyprosić tylko przy pomocy broni, której świeżo powstałemu korpusowi tatarskiemu brakowało. Szukano różnych sposobów, aby temu zaradzić. Jednym z nich było zdobywanie broni od żołnierzy rosyjskich powracających z frontu kaukaskiego. Szły z niego eszelony pełne rewolucyjnych żołnierzy na wszelki wypadek uzbrojonych. Tatarzy prosili o broń. Życie rosyjskich żołnierzy nie było im potrzebne, ale który żołnierz odda broń cudzemu człowiekowi, do którego nie ma zaufania?

W małym domku o płaskim dachu siedmiu jednoroczniaków-abiturientów siedziało przy stole z kilkoma butelkami wina. Poprzez gęste zasłony w oknach ledwo dostawało się gorące słońce. Była pora obiadu. Wielką izbę od kuchni oddzielała gruba, ciężka kotara. Siostra gospodarza wniosła wielki półmisek pilawu z baraniną, postawiła na stole, spojrzała przez dziurki jedwabnej czadry na kolegów brata i oddaliła się, by wejść jeszcze raz z miednicą pełną wody i ręcznikiem. Młodzi mężczyźni umyli ręce i zasiedli do uczty. Nabierali czterema palcami tłusty sypki ryż z kawałkami baraniny na swoje deserowe talerzyki i w tenże sposób przenosili do ust. Kwaśno-słodkie jadło zakrapiali obficie szklankami gronowego wina. Gdy mieli już trochę w czubach, jeden z nich, blisko dwudziestoletni junak o czarnej czuprynie, Hadżijew, popatrzył w okna i cicho powiedział:

– Jutro w południe czeka nas gorąca robota. Koło dwunastej spodziewany jest eszelon z rosyjskimi żołnierzami. Krzywdy im nie będziemy robić. Pociąg zatrzymamy, aby oddali broń i niech jadą sobie z Allahem.

– Sami nie damy rady – odezwał się młody, smagły i chudy kandydat na studenta.

– Niech cię głowa nie boli – rzekł spokojnie trzeci, niskiego wzrostu o szerokich plecach. – Po obu stronach toru przy wałach będą leżeć gotowi do akcji mieszkańcy sąsiednich okolic.

– Wszystko pójdzie gładko – wtrącił Hadżijew. – Przygotujcie na wszelki wypadek konie i swoją broń. Szczegóły jutro o ósmej rano w sztabie. A teraz chodźmy do ogrodu na winogrona.

Wstali, umyli ręce i wyszli przez kuchnię na zaplecze domu, do niedużego ogrodu. Nad głowami wisiało rusztowanie, z których zwisały ciężkie kiście czarnych winogron. Przy ogrodzeniach rosło parę drzewek młodych figowców i granatów. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca ledwo przebijały się do wnętrza ogrodu. Zbliżał się orzeźwiający wieczór.

Noc minęła spokojnie. Jej cisza rozdzierana była momentami przez pojedyncze wystrzały. Suche trzaski niby z bicza. Koło południa zawiadowca stacji przysłał gońca z wiadomością o zbliżającym się pociągu. Już ze stacji Akstafa sygnalizowali, że eszelon jest mocno uzbrojony. Przy otwartych drzwiach wagonów ustawiono karabiny maszynowe. Wszelkie propozycje, by zostawiono broń, odniosły wręcz odwrotny skutek – żołnierze zorganizowali się, wybierając spośród siebie dowódców.

Siedmiu zuchwałych młodych ludzi pod dowództwem Hadżijewa wyruszyło na koniach w okolice stacji Jelizawietpol. Pokłusowali wzdłuż toru, porozmawiali z leżącymi w kryjówkach ludźmi w papachach i skręcili za stacyjne magazyny. Trzech przy koniach, a reszta poszła na stację. Ledwo zamienili kilka słów z dyżurnym ruchu, gdy w oddali ukazał się dym sapiącej lokomotywy. Pociąg posuwał się wolno z wielką ostrożnością. Na tendrze parowozu siedziało dwóch żołnierzy. Należało przypuszczać, że było to ubezpieczenie i jednocześnie zwiad drogi. Dyżurny ruchu, dając wjazd, ustawił jednocześnie czerwony sygnał do odjazdu. Maszynista stopniowo hamował. Pociąg stanął. Hadżijew podszedł do środkowych wagonów i zapytał po rosyjsku, kto jest komendantem transportu.

– My wszyscy dowódcy – odpowiedziało naraz kilku żołnierzy.

– Ale na pewno jest ktoś taki najstarszy?

– A czego ci potrzeba? – Wysunął się do przodu ogromny żołnierz w rozpiętym szynelu.

– Chcieliśmy was poprosić – zaczął grzecznie Hadżijew – żebyście zostawili nam broń. Wam ona nie jest potrzebna. Nawet może przeszkadzać. Dalej z bronią i tak was nie przepuszczą.

– My nikogo wcale nie będziemy o to prosić – odpowiedział buńczucznie starszy.

– W takim razie nie pojedziecie dalej – stwierdził spokojnie dyżurny stacji.

– Coś powiedział? – Wyskoczył z wagonu starszy. Podszedł do dyżurnego, spojrzał z góry i rozkazał: – Zwolnij drogę…

Patrzyli sobie z nienawiścią w oczy. Dowódca eszelonu odchylił połę płaszcza i położył rękę na kaburze pistoletu.

– Zwolnij drogę, albo…

– A jeżeli nie? – wtrącił Hadżijew.

– Będziemy strzelać – odpowiedział.

Z wagonu podeszło kilku żołnierzy. Otarli spocone czoła, wzięli pod rękę dyżurnego stacji i poprowadzili do nastawni. Czerwone światło zniknęło. Rosjanie wskoczyli do wagonu i machnęli rękami w kierunku maszynisty. Pociąg ruszył. Hadżijew ze swoimi towarzyszami pobiegli do koni. Ledwo zdążyli wskoczyć na siodła, gdy rozległy się pojedyncze wystrzały, potem seria z karabinu maszynowego. Hadżijew rozkazał zatrzymać pociąg. Konie

przeszły w galop, Hadżijew wyskoczył do przodu. Miał najszybszego konia. W prawym ręku trzymał pistolet. Trzeba było wyprzedzić lokomotywę i nakazać maszyniście zatrzymanie eszelonu. Osadził wierzchowca i podniósł rękę z pistoletem w stronę maszynisty, który raptownie zahamował. W tym samym momencie jeden z siedzących na tendrze żołnierzy wycelował i strzelił w stronę Hadżijewa. Jego prawa ręka zaczęła powoli opadać w dół, wypuszczając pistolet. Kula drasnęła ścięgno tuż przy dłoni. Koledzy doskoczyli. Pociąg stał. Z różnych zakamarków wyskoczyli Tatarzy w papachach i rzucili się do wagonów. Żołnierze, zaskoczeni masą tubylców, przestali strzelać. Znali charakter rozpalonych kaukazczyków. Nie chcieli być baranami na rzeź.

– Urus dobry. My tylko broń.

Oddali, pojechali. Hadżijew zakręcił rękę urwanym kawałkiem koszuli i pojechał stępa w stronę miasta. Usłyszał gwizd lokomotywy. Obejrzał się. Eszelon oddalał się i malał z każdą minutą. Przy torach kolejowych Tatarzy układali broń, która błyszczała w promieniach gorącego słońca Zakaukazia. Nim odzyskał normalną władzę prawej ręki, korpus tatarski wspomagany turecką dywizją Enwera Paszy nie tylko rozbroił Ormian, lecz również oswobodził przyszłą stolicę Azerbejdżanu – Baku.

* * *

Hadżijew przyjechał tam w trzy dni po wyzwoleniu miasta. O walkach i wojsku zapomniał, marzył o dalszych studiach. Chwilowo stawiał pierwsze kroki w pewnym biurze naftowym, co dawało mu wystarczające środki do życia. Nim trafił do pracy, napatrzył się na wozy pełne zwłok, wywożonych za miasto do wspólnych grobów. Można było oglądać w bezwładzie ludzkie nogi i ręce zwisające z różnego rodzaju wehikułów, przejeżdżających głównymi ulicami. Tak po raz ostatni wywożono na cmentarz carską politykę narodowościową. Niebawem miała przejść do historii jako jedna z ciemnych plam w stosunkach międzyludzkich.

Hadżijew zamieszkiwał w opuszczonym przez Ormianina hotelu. W dzień gorące powietrze wdzierało się poprzez wybite szyby, za to w nocy orzeźwiały chłodniejsze przeciągi. Pewnej nocy obudziły go odgłosy wystrzałów. Posypało się szkło z wiszącej cudem szyby. Położył materac pod ścianą przy oknie i leżąc na nim, nasłuchiwał odgłosów szybkich kroków oraz nawoły-

wań z ulicy. Pojedyncze strzały przybrały charakter bezładnej strzelaniny, która stale się oddalała. Po godzinie nastąpiła cisza i miasto pogrążyło się we śnie. Rano Hadżijew dowiedział się, że do miasta w nocy wtargnęli od morza jacyś „biczerachowcy", aby uzupełnić swoje zapasy, nie wykluczając napadu na bank. Baku w tym okresie było magnesem dla wszelkich ciemnych elementów, w szczególności dla białych i ich popleczników.

Wydarzenia te dały początek nocnym orgiom i napadom. Niebezpieczeństwo czyhało na każdego przechodnia nawet wczesnym wieczorem. Szczególnie na kobiety. Nie chodziło o życie. Ono nikomu nie było teraz potrzebne – potrzebne były ubrania, zegarki, buty. Szerzył się bandytyzm rabunkowy. Władze musiały zastosować drastyczne środki. Opryszków zatrzymanych na gorącym uczynku wieszano bez pardonu w publicznym parku centrum miasta. Kilka ciał dyndało już z wywieszonymi grubymi jęzorami. Na piersiach wisiały ogromne plakaty w trzech językach: tatarskim, rosyjskim i ormiańskim. Przechodnie czytali, kiwali głowami z aprobatą oraz zadowoleniem. Skutki były natychmiastowe – po trzech dobach można było spacerować w środku nocy i wracać cało do domu. Można było pokazywać złote zegarki i chwalić się nowym garniturem. Nie było na nie chętnych. Życie wracało do normalnego stanu.

Po kilku niedospanych nocach Hadżijew postanowił poszukać nowego lokum. Życie w hotelu na dłuższą metę nie było możliwe. Przede wszystkim postanowił nie karmić swoją krwią głodnych i zasuszonych „czołgów", przed którymi nie było obrony. Nie pomagały miseczki z naftą, do których wstawiał nogi żelaznego łóżka, na którym próbował spać. Obudzone pluskwy, niby wywiadowcy, lazły ze ścian i znienacka spadały na swoją ofiarę. Doprowadzały do rozpaczy i zniechęcały do radowania się pięknymi wieczorami, spędzanymi na nadmorskim bulwarze. Drobne fale biegły jedna za drugą i z pluskiem odbijały się od kamienistego brzegu. Z każdym wieczorem ciągnęło od morza i od północy coraz chłodniejszym powiewem – kończyła się jesień.

Pewnego popołudnia Hadżijew szedł powoli pod górę wąską żwirowatą uliczką tuż przy bulwarze. Marzył o jakimś pokoiku w zacisznym domu, w pobliżu pracy. Skrzypnęła w murze gruba drewniana furtka, przy której ukazała się niska, zakutana w długą czarną chustę gruba i stara kobieta. Twarz miała odkrytą, ale na widok młodego człowieka, próbowała ją czę-

ściowo zakryć. Hadżijew zatrzymał się i po azersku zapytał, czy nie wie czasem o jakimś pokoju w tych okolicach. Uradowana ojczystą mową, ożywiła się i wyraziła chęć ulokowania go tu zaraz w sąsiednim domu. Poszedł za kobietą. Po drodze zdążyła mu opowiedzieć, że jej męża wykończyli Ormianie przed oswobodzeniem miasta, że teraz mieszka u siostry i prowadzi go właśnie do własnego domu, z którego uciekła.

Przeszli przez obszerne podwórze i weszli na drewniane ciemne schody. Przy wielkich szerokich drzwiach sięgnęła ręką pod czarne okrycie, wyciągnęła klucz i otworzyła drzwi. Weszli. Przekręciła kontakt i nikłe światło ukazało długi korytarz.

– Proszę za mną – powiedziała cichym głosem. Otworzyła drugie wysokie drzwi. Znaleźli się w dużym ciemnym pokoju, do którego ledwo sączyła się odrobina światła przez zamknięte okiennice. Pośrodku pokoju stał okrągły stół i dwa krzesła. Hadżijew z zakłopotaniem patrzył na skromnie wyglądające umeblowanie. Szczególnie uderzył go brak czegoś, na czym można spać. Pragnął tego więcej niż powietrza, jedzenia lub innych ziemskich i pozagrobowych rozkoszy.

Gospodyni domu zrozumiała widać rozczarowany wyraz twarzy kandydata na lokatora. Pośpiesznie otworzyła kolejne drzwi, za którymi ukazała się dość obszerna alkowa z polowym łóżkiem. Gruby materac i poduszka były przykryte kocem nie pierwszej świeżości. Ciemna chmura spłynęła z twarzy Hadżijewa. A kiedy jeszcze przeszli przez następne drzwi na obszerny balkon, który wisiał tuż nad wąską uliczką prowadzącą wprost na bulwar, twarz jego przybrała wygląd człowieka szczęśliwego.

– Dobrze, zostaję – powiedział. – Ile?

– Niech pan sam decyduje. Ruble mało co warte.

– Trzysta miesięcznie. Dosyć?

– Niech będzie – odpowiedziała cicho z zakłopotaniem.

– Aby nie było tylko lokatorek – rzekł, żartując.

– Owszem, są w drugim pokoju, ale to dwie bardzo spokojne i miłe młode Rosjanki. Mój krewny, jeden taki Ingusz przyprowadził...

– Ja nie o takich lokatorkach, pani nie zrozumiała.

Zdziwiona kobieta patrzyła mu w oczy, jakby nie wiedziała, o co temu młodemu człowiekowi chodzi.

– Ja nie o tych płatnych. Tylko o tych, co siedzą za tapetami i czekają na takich jak ja.

Wreszcie zrozumiała. Przyłożyła dłoń do serca i rzekła:

– Niech mnie Allah skaże, jeżeli choć jedna tu mieszka.

Nie skłamała. Przyszłość pokazała, że za tapetami nie było rzeczywiście sublokatorów. Byli tylko mili współlokatorzy, których niebawem poznał.

* * *

Do pokoju, który zajmowały Lena i Ola, prowadziły drzwi z długiego korytarza. Dwa wielkie okna wychodziły na obszerne podwórze, a raczej pusty plac, na końcu którego stał wysoki murowany stary dom o kilku kominach. Był to skraj starej twierdzy. Ciche, odosobnione miejsce, dokąd wtedy nie dochodziło żywsze, bardziej pulsujące życie. Wymarzone dla odpoczynku i ucieczki od gwaru ulicznego. Urządzenie pokoju przyjaciółek było nader skromne. W rogu, wprost na podłodze, leżały grube materace niczym japońskie maty, przykryte starym, ale cennym dywanem. Na nim kilka poduszeczek różnej wielkości. Przy oknie mały okrągły stoliczek, nakryty białą wiązaną serwetką. Dalej, w rogu, na odwróconej skrzyni prymus, kilka szklanek i garnuszków. Całe to wyposażenie uzupełniało wiszące na ścianie sfatygowane lustro. Wszystko wskazywało na tymczasowość życia zamieszkujących tu osób.

Okna pokoju wychodziły na południe. W letnie gorące dnie pełno tu było promieni słonecznych, a w noce gwiaździste – księżycowej poświaty. Hadżijew po tygodniu zapoznał się z sąsiadkami, a raczej ze współlokatorkami i zaczął wieczorami przesiadywać u nich. Czasami mówiły obie naraz:

– Niech pan przyjdzie dzisiaj na bliny rosyjskie. Oczywiście nie będą prawdziwe, ale coś tam się zrobi.

Pewnego wieczoru Ola zaskoczyła Hadżijewa znajomością jego niedalekiej przeszłości:

– Z pana to nie byle jaki bohater – gonić tak na koniu pociąg.

– Skąd pani o tym wie, skoro panie siedzą w Baku?

– Niech pan lepiej spyta, gdzie nas nie było.

– Nie ma co wspominać o przykrych rzeczach. Przecież walczyłem z waszymi rodakami, a wy mnie przyjmujecie jako najlepszego gościa.

– Ale teraz jesteśmy pod waszą opieką – odezwała się Lena. – Tak jakby po trochu waszymi niewolnikami…

– Co ty wygadujesz – zadźwięczał wesoły głos Oli. – Ja tam nie czuję się niewolnicą i nie mam zamiaru iść do haremu. Wolę sama brać do niewoli. Prawda, panie… Niestety, nie znam pana imienia….

– Iskander.

– To mi nic nie mówi. Będę nazywała pana Saszą. Zgoda?

– Zgoda… Będę dla pani Saszą.

Tym sposobem Iskander Hadżijew, syn Szakira i Azymy, odwiecznych mieszkańców okolic Jelizawietpola, został Saszą.

Nadeszła zakaukaska zima, bez śniegu i mrozów, ale z częstymi porywistymi i chłodnymi północnymi wiatrami. Ola pracowała na nowo otwartym uniwersytecie w charakterze kreślarki i plastyczki, Lena prowadziła skromne gospodarstwo. W wolnych chwilach czytała książki, a najwięcej i najczęściej, leżąc na materacach, pogrążała się w rozmyślaniach. Gdyby ktoś miał możność obserwować ją, pogrążoną w jej tylko znanych myślach, mógłby przypuszczać, że patrzy na rzeźbę. Jedynie poruszające się piwne oczy wskazywały, że nie jest głazem wyrzeźbionym przez przyrodę lub człowieka. Wszystko jednak zmieniało się z chwilą powrotu Oli z pracy. Bez względu na pogodę, ona przynosiła do domu słońce, radość, zadowolenie, ożywienie. Jednym słowem – życie.

Sasza zaglądał co wieczór. We trójkę pili wieczorną herbatę. Jego stosunek do tych dwóch kobiet nabierał dziwacznych cech. Do wnętrza mężczyzny zaczęły się wciskać dwa sprzeczne obrazy: dusza Leny i ciało Oli. Ten dualizm uczuć niepokoił go i drażnił jednocześnie. W tym samym czasie, gdy przyglądał się spadającym kasztanowym włosom Leny i w jej spokojnej, zamyślonej twarzy widział abstrakcyjne, mało wyrażalne piękno, Ola drążyła uczucia Saszy niby robak jabłko. Stopniowo oddalał się od Leny i podświadomie zbliżał ku Oli, która doskonale to wyczuwała, a czym w zasadzie nie była zachwycona, chociaż z drugiej strony schlebiało to jej ambicji jako kobiecie. Uważała zresztą, że głównym zadaniem kobiety jest ściąganie na siebie uwagi mężczyzny.

Pod koniec zimy zaczęło przygrzewać słońce. Sasza wstawał wcześniej, by odprowadzić Olę do pracy. W słoneczne i bezwietrzne poranki szli okrężną

drogą, przez bulwar. Siadali nieraz na ławce i obserwowali łodzie kołyszące się na morzu. Snuli marzenia o przyszłości – Sasza o uniwersytecie, Ola o szkole malarskiej. Potem biegiem opuszczali bulwar, wpadali w dołki, zderzali się ramionami, śmiali się jak sztubacy i rozweseleni wpadali pomiędzy ludzi w centrum miasta. I tak prawie co dzień. Czasami zdarzało się, że Ola zaspała. Hadżijew biegł wtedy po dorożkę, w której siadali przytuleni ramionami i kazali się szybko wieźć. Wydawał zarobione ruble i był szczęśliwy. Wystarczało, że jadąc odczuwał jej ciepłe ramię. Kiedy milczał i na jego twarzy pokazywał się cień smutku, Ola mówiła:

– Tak bym pana wytargała za te włosy.

– Za co?

– Tak dla zabawy.

– Proszę – odpowiadał i lekko skłaniał głowę w jej stronę. Zapuszczała wypielęgnowane palce w jego włosy, przyciągała lekko ku sobie i patrząc mu w czarne, błyszczące oczy, dodawała:

– Ależ z pana dzieciak, a jest pan właściwie już studentem...

Starsza o kilka lat od niego, Ola nie rozumiała, że Saszy wystarczała tylko jej obecność. Zadziwiała ją jego nieśmiałość. Może nie chciała uwierzyć w szczere i bezinteresowne uczucia do swojej osoby.

* * *

Od jakiegoś czasu Ola zaczęła wracać z wysokim, około trzydziestoletnim, przystojnym mężczyzną. Był to Ingusz z Machaczkały, który niegdyś jechał z nimi w jednym wagonie, a potem ulokował Lenę i Olę w tym właśnie domu swojej ciotki. Niekiedy znikali wspólnie i wracali późnym wieczorem. Sasza towarzyszył Lenie. Siedzieli i przeżuwali własne myśli. Patrzył na nią jak na martwe bóstwo i bał się naruszyć jej niewysłowiony spokój. Najczęściej szedł do swojej alkowy, kładł się na łóżku, czytał i mało co rozumiał, gdyż postać Oli przysłaniała stale treść książki. Coraz bardziej zaczynał drażnić go ten Ingusz, który wcale nie podejrzewał Hadżijewa o jakiekolwiek uczucia względem Oli.

Któregoś wieczoru siedzieli wszyscy razem przy herbacie, którą jak zwykle z wdziękiem rozlewała Lena. Każdy siedział cicho i patrzył poprzez kolorowy płyn na dno swojej szklanki. Zdawało się, że wypatrują tam swojej

przyszłości. Tylko Ola dostrzegła, że Sasza siedzi nachmurzony, inny niż dawniej i ukradkiem zerka w stronę Ingusza. Niekiedy pili koniak i wino. Prowadzili wówczas zażarte dyskusje o bolszewizmie, mieńszewizmie, anarchizmie, kolonializmie i Bóg tylko wie, o czym jeszcze. O wszystkim, co się działo na szerokim świecie i o tym, co powinno się dziać. Tyle koncepcji, ile głów. Tyle zgody, ile sprzeczności, a we wszystkim Hadżijew szukał pretekstu do atakowania Ingusza. Ola zaczynała rozumieć sytuację i natychmiast ucinała niebezpieczne dyskusje.

Hadżijew nabrał przekonania, że znikanie Ingusza z Olą nie było tylko wychodzeniem na zwykły spacer. W takich momentach zamykał się w swoim pokoju i udawał, że śpi. W rzeczywistości sprawdzał godzinę, o której wracała, a potem i tak nie spał. Tymczasem słońce z każdym dniem coraz wyżej przesuwało się nad miastem i nagrzewało płaskie białe dachy domów. W parkach i na bulwarze raptownie zazieleniły się krzewy i drzewa. Zbliżała się wczesna bakińska wiosna. Znikały chłodne powiewy, chmury odpływały na zachód, noce stawały się gwiaździste i coraz cieplejsze. Zaprzestano palenia mazutem w piecach, otwarto szeroko okna i drzwi balkonowe. Ciepło wdzierało się do mieszkań. Oddechy stały się głębsze i pełniejsze.

– Panie Hadżijew – powiedziała pewnego popołudnia Ola. – Nadchodzi wiosna, a pan taki nachmurzony. To niełądnie. Robią się ładne poranki, grzeje pieszczotliwie słońce. Będzie pan mnie znowu odprowadzał do pracy jak zeszłego roku, prawda? Niechże pan rozjaśni swoje oblicze i spojrzy na mnie. Na podłodze naprawdę nie ma niczego ciekawego.

Nie odezwał się i głowy nie uniósł. Po raz pierwszy zamiast imienia wypowiedziała jego nazwisko. To go zastanowiło. Miał chęć powiedzieć: „Niech odprowadza Ingusz". Ale tego nie zrobił. Bał się, że utraci Olę.

Kiedy wieczorami spotykali się w pokoju przy herbacie, zapadała żenująca cisza. Teraz można by ich nazwać „Klubem ludzi milczących" lub „Klubem ludzi wyczekujących", co byłoby właściwsze. Zdawało się, jakby zawisła nad nimi Nemezis, od której zależały losy tych tak różnych czterech charakterów.

Ola otrzymała nagrodę za pięknie wykonany plakat „Przyszłość Baku". Z tego powodu urządziła małą uroczystość. Wino buszowało w głowach całej czwórki. Nawet Lena ożywiła się i wyszła chwilowo ze swej skorupy na światło dzienne. Jej marmurowa twarz rozjaśniła się, w kącikach ust ukazał się

delikatny uśmiech i zaczęła nucić melodię o burłakach. Ingusz najpierw zaciągnął smutną melodię miłosną z operetki *Arszin małałan*, a potem wyszedł na środek pokoju, klasnął w ręce w takt lezginki i podrobił wkoło, by przejść do żywiołowych podskoków. Po krótkim tańcu wyszedł na korytarz i znikł w ciemnym pokoju Hadżijewa. Otworzył drzwi balkonowe. Na czystym niebie migotały gwiazdy, sierp księżyca rzucał słabe światło na wieczorową ciszę. Ola wyszła za nim. Nie wracali.

– Niech pan ich zawoła lub chodźmy wszyscy do pana na balkon – powiedziała Lena.

– Zaraz sprawdzę, co się dzieje – rzekł Hadżijew i wyszedł na korytarz. Poprzez uchylone drzwi w jaśniejszym świetle gwiaździstej nocy zobaczył – niczym na obrazie – dwie postacie złączone w miłosnym pocałunku. Poczuł, jak krew uderza mu do głowy, gotów był rzucić się i rozszarpać tych bliskich sobie ludzi. Opanował się jednak, wszedł do ciemnego pokoju i umyślnie uderzył nogą o krzesło. Ingusz i Ola odskoczyli od siebie. Hadżijew stanął w drzwiach balkonowych i drżącym głosem powiedział złośliwie:

– Przeszkadzam w kontemplacji przyrody, ale mój balkon nie jest … – nie dokończył.

– Czym nie jest balkon? – zapytała spokojnie Ola.

– … mój balkon nie jest dachem – dodał.

– Nie rozumiem… – wtrącił Ingusz.

– Kotki powinny wabić kocurów na dachu. Czyż nie tak, pani Olu?

– Jest pan bardzo złośliwy, panie Hadżijew.

– Nareszcie pani zrozumiała. – Hadżijew opuścił balkon, wszedł do alkowy, rzucił się na polowe łóżko i chyba po raz pierwszy w życiu zapłakał. Tydzień później, po powrocie z pracy, zastał pusty pokój po współlokatorkach. Odeszły bez pożegnania. Patrzył na martwe wnętrze z wielkim materacem i drobnymi mebelkami. Przed oczyma, jak we mgle, stały mu dwie postacie: wysoka, zamyślona Lena i wesoła, jasna i rozświergotana Ola. Wydały mu się zjawami nie z tego świata, które zabłysły na krótko w jego życiu i zgasły jak poranne gwiazdy, pozostawiając mu pierwszy zawód, jaki może spotkać każdego młodego człowieka. Po dłuższym rozmyślaniu przyszedł do przekonania, że cała ta głupia historia, która dała mu kilka niezapomnianych chwil, zakończyła się melodramatem z jego winy.

* * *

Pewnego majowego popołudnia w korytarzu dało się słyszeć ciężkie kroki i cichą rozmowę. Hadżijew wyjrzał. Z przodu dreptała gospodyni, za nią wysoki barczysty mężczyzna w marynarskim ubraniu z dużą walizką. Pochód zamykała kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, wzrostu poniżej średniego, o twarzy okrągłej, wydatnych policzkach i małych oczkach.

– O, tu, na lewo – mówiła gospodyni łamanym językiem rosyjskim, otwierając jednocześnie drzwi do pokoju.

Mężczyzna z walizką wszedł pierwszy, rozejrzał się wkoło, zmarszczył brwi i rzekł:

– A na czym moja Daszeńka będzie spać, za pozwoleniem?

– A na tych chyba materacach – podchwyciła żona, nie czekając na odpowiedź gospodyni. – To tak po wschodniemu – śmiała się. – Jakby w haremie.

– Ale ci będzie twardo, Daszeńko?

– Tak spały poprzednie lokatorki – wtrąciła gospodyni – i wcale nie narzekały. To grube materace, niech pan popatrzy.

– Ale one na pewno były młode, a moja Daszeńka, tego owego, jak to powiedzieć, ma kosteczki trochę starsze. Mówiąc to, przygarnął silnie niedźwiedzim ramieniem żonę, patrząc jej w oczy.

– Nie ściskaj tak starszych kosteczek – powiedziała z gniewną miną – bo je jeszcze połamiesz. Materaców się nie boję. Nie gorzej będzie niż w kajucie. Niech odpocznę choć raz na lądzie. Mam dosyć tej wiecznej huśtawki na tym twoim kaspijskim jeziorze.

– Tylko nie jeziorze, bo się obrażę. To jest złote morze. A że się kiwa, to taka jego natura.

I tak Hadżijew został współlokatorem słomianej wdowy. Mąż odjechał do Krasnowodska. Powrót przyrzekł w zależności od warunków. Morze należało w tamtym okresie do różnych bogów – wszystko się mogło przydarzyć. Z tego właśnie powodu postanowił na wszelki wypadek zapewnić swojej kochanej Daszeńce bezpieczeństwo na lądzie. Było ono pewniejsze niż na wodzie.

Daria Iwanowna Jegorowa (tak nazywała się oficjalnie nowa lokatorka) załatwiała sprawy gospodarcze pod nieobecność Hadżijewa, a wieczorem siedziała jak mysz pod miotłą i czytała stare sentymentalne romanse. Po

ciężkich przygodach związanych z rewolucją i walkami czerwonych z białymi korzystała z zasłużonej samotności oraz spokoju. Raz byli na wozie, raz pod wozem, nim ostatecznie udało się z Wołgi wypłynąć na szersze wody Morza Kaspijskiego.

Z nastaniem upałów w dzień zasłaniała okna, zaś wieczorami uchylała je szeroko i często siedziała przy nich bez światła, patrząc na sąsiednie domy i nasłuchując odgłosów życia z centrum miasta.

Hadżijew miał szefa Polaka, niezmiernie dowcipnego człowieka po pięćdziesiątce, od kilku lat wdowca. Nie wymyślał własnych dowcipów lub powiedzonek, lecz miał wprost rzadko spotykaną pamięć do zasłyszanych kawałów i opowiadania ich w sposób nader zaskakujący. W podróży mógł przez całą dobę niemal bez przerwy rozśmieszać towarzystwo coraz to nowymi opowiadaniami. Był wprost nie do pokonania w tej dziedzinie. Dzięki swojemu talentowi towarzyskiemu zdobył serce starszawej, ale dużo młodszej od siebie panny i postanowił jeszcze raz spróbować małżeńskiego szczęścia. Pierwszy związek był udany, ale małżonka wkrótce go opuściła, odchodząc na wieczny spoczynek pod sosnami o długich igłach, zmęczona nieustannym śmiechem z opowiadanych o każdej porze dnia i nocy dowcipów z całego świata.

– Niech pan zgadnie – powiedział pewnego poranka do Hadżijewa – co takiego wymyśliłem?

– Nowy kawał?

– Taki, jakiego pan się nie spodziewa.

– Słucham.

– Żenię się.

– Winszuję.

– Dziękuję, ale proszę o jeszcze.

– O co?

– O pańskie wielkie kawalerskie mieszkanie na weselną kolacyjkę. Moje nadaje się tylko do intymnego gruchania, a chciałbym zaprosić parę osób... Pan wie, z naszego biura.

– Służę pokojem i balkonem, bo drugi pokój już jest zajęty przez tajemniczą damę.

– Okazja do uniesienia rąbka tajemnicy.

– W jaki sposób?

– Po prostu zaprosimy tę tajemniczą damę do stołu.

– Ale kto ten stół przygotuje?

– A może tajemnicza dama?

– Spróbujmy.

Daria Iwanowna, przy pomocy właścicielki domu i panny młodej, urządziła pyszną rusko-tatarsko-polską kolację, suto podlewaną winem. Znalazł się nawet stary gramofon z nieco zardzewiałą tubą. Zdezelowane płyty rozbrzmiewały skrzypiącymi, nieco fałszywymi melodiami starych walców, ale nie raziły uszu rozbawionych i roześmianych gości oraz gospodarzy. Nikt z tubylców nie uwierzyłby, że trwa uczta weselna, podczas której, zwyczajem kaukaskim, odbywa się chaotyczna strzelanina z pistoletów na wiwat. Zamiast strzałów co rusz rozlegał się niepohamowany śmiech po każdym dowcipie opowiedzianym przez pana młodego. Radosny nastrój leciał przez otwarte drzwi balkonowe i ginął w niedalekim listowiu bulwarowych drzew, którym słońce nie zdążyło jeszcze odebrać świeżej, zielonej barwy.

Wśród gości była młoda kobieta, podobna wyglądem i usposobieniem do Oli. Za dużo wypiła i wyszła do alkowy. Położyła się na polowym łóżku i przymknęła oczy. Hadżijew zajrzał do niej, schylił się i pocałował w policzek. Natychmiast podniosła się i powiedziała:

– Myślisz, że jestem prostytutką… – i ponownie opadła na poduszkę.

Hadżijew wycofał się cicho. Potem długo prześladowały go te słowa: „Myślisz, że jestem prostytutką…". Kiedy nad ranem żegnał tę kobietę, rzekła:

– Może pan mnie odprowadzić.

Odprowadził. Po drodze ani razu nie wspomnieli o pocałunku. Oboje uważali zdarzenie w alkowie za zapomniany sen.

* * *

Po uczcie weselnej Daria Iwanowna wróciła do swoich książek. Hadżijew błądził w wolnym czasie po mieście, zapuszczał się w dzielnice handlowe, z odrazą patrzył na wiszące w jatkach ociekające krwią i usiane muchami ćwiartki i całe połowy krów. Po tych widokach nie mógł już jeść mięsnych obiadów. Innym razem poszedł wieczorem na spotkanie literackie z futurystami i słuchał przez godzinę patetycznych okrzyków na scenie. Nie mógł uchwycić treści ani

sensu deklamowanych wierszy. Czasami wpadały mu do ucha słowa: „I trafił palcem w dziurę nieba", po których, rozczarowany, wychodził, szedł na bulwar, nasłuchiwał plusku fal i wracał do swojej alkowy. Leżał. Próbował czytać, ale obraz Oli przeszkadzał mu w skupieniu się nad treścią. Zły, wstawał i wychodził na balkon. Patrzył bezmyślnie na ślepą ścianę sąsiedniego domu do późnej nocy.

Pewnego takiego wieczoru, siedząc na balkonie, usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Przed nim stała Daria Iwanowna.

– U mnie w pokoju jak w chlebowym piecu – powiedziała. – Jeżeli nie przeszkadzam, chętnie posiedzę na balkonie. Tutaj choć ciągnie od morza.

Hadżijew przyniósł krzesło, ale Daria Iwanowna wolała stać oparta o marmurową balustradę. Był lipcowy gorący wieczór. Milczeli. Po jakimś czasie sąsiadka jednak usiadła, zakładając nogę na nogę. Jedwabny szlafrok rozsunął się i odkrył jej okrągłe kolano. Mimo woli wyczuł, że kobieta ma na sobie jedynie to piękne, ze wschodnimi deseniami okrycie. Lewa ręka Darii przesunęła się po balustradzie i napotkała rękę Hadżijewa. Lekko ją ścisnęła. Nie cofnął swojej i tak pozostali na dłuższą chwilę.

Połówka księżyca chowała się za listowiem drzew bulwarowych. Zapadała cisza. Na ciemnogranatowym niebie wibrowały gwiazdy. Jedna zabłysła, potoczyła się w dół i zgasła. Daria Iwanowna wstała, ujęła Hadżijewa za ramiona, pocałowała w czoło i wyszeptała:

– Niech pan wpadnie do mnie za pół godzinki.

* * *

Przekraczając próg pokoju kobiety, która mogłaby być mu matką, Hadżijew czuł tylko silne bicie własnego serca. Był posłuszny jej woli i szedł w nieznane niczym lunatyk. W pokoju paliła się maleńka lampka. Daria Iwanowna półleżała na materacach. Obok – mocno sfatygowana książka. Skierował się w stronę krzesełka przy stoliku.

– Nie tak daleko, panie... Właściwie to jak panu na imię?

– Iskander.

– Takie straszne. Może jakoś inaczej?

– Niech pani nazywa mnie w takim razie Saszą – rzekł.

– To już lepiej, ale niech no Sasza siada tutaj bliżej i wygodniej. O, tutaj, na tej poduszeczce, na materacu i niech mi Sasza opowie coś o sobie.

Posłuszny Hadżijew zajął wskazane miejsce. Przed oczami miał obraz Oli, na którą był zły, ale której nie mógł wyrzucić ze swojej głowy.

– Nie chcę takiego zamyślonego chłopca – powiedziała, wyciągając ku niemu rękę. – Założę się, Sasza, że pana coś gnębi.

Nie odpowiedział. Patrzył w błyszczące niby gwiazdy małe oczka kobiety, w twarz, która stawała się coraz bardziej ruchoma i żywa. Przyciągnęła go ku sobie i mocno pocałowała w usta. Wyczuł jej drżące ciało. Zgasiła lampkę.

– Kochany głuptasku – szeptała, zapuszczając jedną rękę w jego czarną czuprynę, a drugą zsuwała z niego piżamę. Całowała jego ciało rozdygotana, pełna pożądania, którego nie umiał ugasić. Była rozczarowana i jednocześnie zachwycona. Zachłystywała się niepełną rozkoszą o jakiej marzyła, ale czuła słodycz zwycięstwa. Potem powiedziała, że go obudzi, aby się nie spóźnił do pracy. I rzeczywiście obudziła – delikatnym muśnięciem warg po jego ustach. Otworzył oczy, wyciągnął ręce i przyciągnął ją do sobie.

* * *

Hadżijew przestał jadać na mieście. Daria Iwanowna czekała na niego z wielką niecierpliwością, czasami z nieuzasadnioną obawą. Wymyślała królewskie potrawy, na jakie można było sobie wtedy pozwolić. Po obiedzie długo pili herbatę z konfiturami, opowiadali sobie o różnych zdarzeniach w czasie wojny, najmniej rozmawiali o bieżących chwilach, jakby się bali je wypłoszyć. Daria Iwanowna nie wspominała o mężu, Hadżijew unikał rozmów o poprzednich lokatorkach. Trochę czytali, a z nadejściem wieczoru kochali się na materacach. Daria Iwanowna zdawała się być nienasycona. Wpadała w egzaltację, pieszcząc swojego Saszę, który przyjmował wszystko, uważając, aby jej przypadkiem czymkolwiek nie urazić. Żył chwilą, przede wszystkim młodością i wciąż ukrytą tęsknotą za Olą.

– Mocniej mnie kochaj, mój najdroższy Saszeńka – szeptała mu do ucha w chwilach uniesienia. – Mów do mnie, kochany... Mów, że jestem twoja, cała twoja... Powtarzaj, że mnie kochasz, kochasz....

Daria Iwanowna chciała, jeżeli nie prawdziwej miłości (bo o takiej właściwie nie myślała), to przynajmniej złudzeń. Wiedziała dobrze, że przyjdzie w końcu dzień, kiedy ich grzeszna miłość pęknie jak kolorowa bańka mydlana. Starała się o tym nie myśleć, żeby nie psuć tego, co wciąż trwało.

Minęły prawie trzy tygodnie. Hadżijew wieczorami chodził na wykłady i nieraz wracał bardzo późno. Daria Iwanowna czekała cierpliwie i jeżeli długo nie przychodził do niej, to sama szła do niego. Siedzieli na balkonie, nabierali w płuca świeższego powietrza od morza i szli na materace.

Kiedyś wrócił wyjątkowo późno. Był już po kolacji, odczuwał zmęczenie i położył się spać, zamykając drzwi do alkowy. Zaraz po północy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Domyślił się czyje. Udawał, że śpi. Pukanie natarczywie powtarzało się. Usłyszał głos:

– To ja, Sasza, twoja Daszeńka.

Nie odzywał się. Daria nie dawała za wygraną. Zastukała mocno i niemal błagalnym głosem powtórzyła:

– Sasza, otwórz. Bez ciebie nie mogę zasnąć. Nie bądź taki niedobry...

Wreszcie odeszła. Na drugi dzień wieczorem opowiedział o snach, dręczących go ostatniej nocy. Wyraźnie słyszał, że ktoś dobijał się do jego alkowy. Nie mógł jednak się obudzić. Rano nic nie pamiętał. Po raz pierwszy skłamał. Daria Iwanowna uwierzyła. Była znowu szczęśliwa.

Nastała druga połowa sierpnia. Od morza wiało z północy chłodniejszym wiaterkiem. Upały zmalały. Nawet w pokoju Darii, przy dwóch otwartych oknach, wieczory były przyjemne. Żadne zasłony, ani firanki nie tamowały dopływu świeżego, orzeźwiającego powietrza. Koniec sierpnia na Zakaukaziu jest początkiem okresu obfitości. W ogrodach uśmiechają się do człowieka brzoskwinie, figi, granaty, winogrona. Zmierzchy są pełne zapachów owoców, krzewów i kwiatów. Powietrze staje się słodkie. Liście szepczą przy najmniejszym ruchu powietrza. Otaczająca przyroda uosabia człowieka do rozmyślań i czyni z niego marzyciela. Albo pogrąża w nirwanę.

Była wyjątkowa księżycowa noc sierpniowa, kiedy Hadżijew nie wiadomo który już raz przekroczył próg pokoju Daszy. Zaskoczył go wyjątkowy wybuch jej temperamentu. Była po prostu wulkanem, który wyrzucał z siebie gorącą lawę. Szeptała niby do siebie: „Może niedługo przyjechać. Co mu wtedy powiem? Czy nic nie powiem? Jak go spotkam? A co robić, jeśli zechce zabrać mnie za sobą?". Sasza wsłuchiwał się w słowa, które gubiły się w przestrzeni pokoju i które wydawały mu się tajemną modlitwą. Potem zapytał:

– Komu stawiasz pytania?

– Sobie, Saszeńka, sobie. Myślę o tym, że mój mąż może niedługo przyjechać. Może mnie zabrać. Jak ja będę żyła bez ciebie? Wiem, że jestem szalona, ale tak ciebie pokochałam...

Przygarnęła go mocno do siebie, mówiąc:

– Chodź do mnie, kochany. Niech się tobą nacieszę. Kto wie, jak długo będzie trwało nasze szczęście...

Kiedy Hadżijew chciał wstać, żeby przejść do swojej alkowy, przytrzymała go:

– Nie puszczę cię dziś od siebie. Jutro niedziela. Śpij ze mną.

I został. Zapadli w sen jakby pod działaniem haszyszu.

* * *

Właśnie tej pięknej księżycowej nocy do przystani towarowej w Baku dobił mały transportowy statek. Kapitan Jegorow zwolnił pomocników, pozostawiając dyżurnego. Zawinął w niedzielę, zamierzał odwiedzić swoją Daszę, do której tęsknił już od kilku tygodni. Wiózł pieniądze i podarki. Miał zamiar poczekać do świtu, aby nie budzić żony. Nie mógł zasnąć. Przeszkadzała chęć wzięcia w silne ramiona kobiety, dla której wiózł wypoczęte i stęsknione ciało.

Ta tęsknota zadecydowała, że opuścił kajutę i udał się w stronę twierdzy. Namacał klucz od drzwi wejściowych do korytarza, dobrze schowany w bocznej strony kieszeni marynarki. Dostał go od właścicielki domu. Był to klucz po jej zabitym mężu. Miał zamiar o tym powiedzieć drogiej Daszeńce, ale przy czułym pożegnaniu zupełnie o nim zapomniał. Zresztą, czy ma to jakieś znaczenie?

Droga od przystani była krótka. Nawet stąd widział okrągłą spiczastą wieżą, a tuż zaraz i upragniony dom. Wszedł na schody i sięgnął ręką po klucz. Delikatnie przekręcił, by nie robić hałasu, drzwi zostawił tylko przymknięte i cichutko skierował kroki w stronę pokoju żony. Nie zdziwił się wcale, że drzwi, przez które padało pasmo delikatnego, dyskretnego światła księżycowego, były otwarte. Zatrzymał się. Przez otwarte na oścież okna widział okrągłą uśmiechniętą maskę księżyca nad wysokim kominem sąsiedniego domu. Potężne księżycowe światło zalewało pokój. W tej poświacie kamiennym snem spało dwoje ludzi – Dasza i Sasza. Ona trzymała rękę na jego piersi.

Jegorow nie mógł ruszyć się z miejsca. Nogi miał niczym przygwożdżone do progu. Nie wierzył sobie, nie wierzył własnym oczom i chciałby nie wierzyć księżycowi nad kominem. Ale jego blask był zbyt intensywny, żeby nie rozpoznać swojej żony. Mężczyznę widział po raz pierwszy i to prawdopodobnie zadecydowało, że zamiast się rzucić i rozszarpać, jeżeli nie obie ludzkie istoty pogrążone we śnie, to przynajmniej jedną, wycofał się cicho, zamknął za sobą na klucz drzwi wejściowe i ruszył wolno w kierunku przystani. Stawiał na chodniku ciężkie kroki, których echo ginęło w nocnej ciszy. Z zaciśniętymi pięściami wszedł na pokład statku, oparł się o burtę i patrzył bezmyślnie na spokojne, lśniące lustro morza. Po ściągniętych brwiach sądzić należało, że człowiek ten podejmuje jakąś decyzję wielkiej wagi. W rzeczywistości stał jak bezradne dziecko na pustyni. Wszelkie uroki nocy zostały bezlitośnie zmiażdżone.

Pierwszy odruch, jaki powstał po odzyskaniu przytomności umysłu, był bardzo prosty i poniekąd logiczny: natychmiast odjechać i nigdy więcej nie wrócić. To byłoby najlepszym oraz najprzyzwoitszym rozwiązaniem. Ale zaczęła w nim zwyciężać mroczna natura. Chodził po pokładzie, od dziobu do rufy i z powrotem. Miotał się niby zwierz w klatce. Wszedł do kajuty, położył się. Założył potężne ręce na głowę, mocno ją ściskał, próbował drzemać. Wyciągnął z szafki pół litra koniaku, odkorkował, przechylił i wypił do dna niby lemoniadę w gorący dzień przy dużym pragnieniu. Pragnienie rzeczywiście miał ogromne, tylko nie wiedział, jak je ugasić. Kiedy poczuł działanie alkoholu, odżyło raptem uczucie zemsty. Uczucie chyba najgorsze, jakie może powstać na samym dnie człowieczej duszy.

* * *

Ledwo za miastem, za pasmem górskim, zaróżowiło się niebo, Jegorow, zmęczony myśleniem i odurzony alkoholem, zasnął. Gdy się obudził, był już dzień w pełnej krasie. Maleńkie fale chlupotały o burty stojących u przystani statków. Zdecydowanym krokiem udał się prosto do mieszkania żony. Chociaż klucz miał w kieszeni, tym razem mocno zapukał do drzwi. Otworzyła Dasza. Stała w szlafroczku skamieniała, trochę zaskoczona, więcej może przestraszona. Nie dziwił się.

– Coś taka niemrawa? Nie cieszysz się?

– Jeszcze jak, tylko tak znienacka. Jestem zaskoczona miłą niespodzianką...

– Stęskniłaś się chyba za mną, moje biedactwo?

– Jeszcze pytasz? – Zawisła na jego silnym karku. Rozłączył jej ręce, wszedł do pokoju, zerknął nieuchwytnie na materace, usiadł na skrzypiącym krześle i niskim głosem powiedział:

– Pakuj się, bo zaraz odjeżdżamy. Smutno ci tutaj samej, lepiej nam będzie na morzu.

Bez słowa otworzyła walizkę, pozbierała drobne rzeczy i osobistą bieliznę. Ściągnęła paskiem i była gotowa do odejścia.

– Idź prosto na przystań, ja wstąpię do gospodyni i się rozliczę.

Niosła dość ciężką walizką, na co nigdy dotychczas nie pozwalał, ale dzisiaj nie przywiązywała do tego żadnego znaczenia. Nawet jego posępny wygląd i poniekąd oficjalne zachowanie się nic jej nie mówiły. Była przekonana, a raczej przypuszczała, że jest zwyczajnie zmęczony nocną podróżą, bo przecież nie zapytała go, kiedy przyjechał.

Jegorow zapłacił za mieszkanie i klucz, który skrzętnie schował w marynarce. Na obiad poszli do stołówki na bulwarze. Jedli, milcząc, i unikali patrzenia sobie w oczy. Wieczorem, na statku, poszli wcześniej spać. Daria Iwanowna próbowała spędzić nieuzasadnione, jej zdaniem, chmury z twarzy męża. Objęła go mocno, całowała po nieogolonych policzkach, a kiedy położyła swoje usta na jego wargach, nie tylko nie otrzymała żadnej wzajemności, lecz odwrotnie – zacisnął usta i odsunął Daszę od siebie.

– Co ci jest, Miszeńka? – zapytała troskliwie. – Chybaś nie chory?

– Nie wiesz nawet jak ciężko... – odpowiedział wymijająco.

– Co ci dokucza? – ponowiła pytanie.

– Wszystko mi dokucza. Głęboko w środku strasznie mnie wszystko boli. Aż w mózgu wierci. Miejsca nie mogę znaleźć.

– Czego nie pójdziesz do lekarza?

– Na moją chorobę nie ma lekarza... Sama musi przejść...

– Nic nie rozumiem.

Zamilkli. Kręcili się, nie mogąc zasnąć. Jegorow utkwił wzrok w suficie. Myśli kłębiły się mu w głowie, wreszcie przybrały konkretny kształt: „A może wziąć tę hurysę tak za te długie włosy i opuścić to grzeszne ciało do morskiej słonej wody z pływającą ropą, tak trochę potrzymać i zapytać,

co robiła pewnej nocy z soboty na niedzielę w księżycową noc?". Po chwili pojawił się nowy pomysł: „A może tak po prostu ścisnąć ją trochę za szyję i zapytać, czy nie wie przypadkiem za co jej dokuczam?".

Nie mógł i nie chciał pozbyć się jej tak od razu, za jednym zamachem. Przecież dawniej był do niej szczerze nie tylko przywiązany. Nie tylko lubił. Tyle lat ją kochał. Dała mu z siebie wiele; może żadna inna kobieta nie potrafiłaby tego zrobić. Im wyraźniej stawała mu przed oczyma ich wspólna przeszłość, tym bardziej łagodniał i tracił pewność. Chciał o wszystkim zapomnieć. Próbował podejść do swojej Daszy z ciepłym, dobrym sercem. Chciał, jak niegdyś, przycisnąć ją mocno do siebie, pocałować, zagubić się w jej jędrnym ciele. Dasza już się cieszyła oznakami wyzdrowienia. Ale kiedy dochodziło do zbliżenia, między nimi raptem pojawiała się księżycowa maska nad kominem i odpychał zdziwioną żonę.

Diabeł na nowo łechtał jego duszę i Jegorow czuł w sobie nieodpartą chęć dręczenia ciała, które niejedną noc musiało należeć do innego mężczyzny, kiedy on huśtany morskimi falami wiecznie powracał myślami do kochanej kobiety. Jeżeli zostawił ją samą na kilka miesięcy, to tylko dla jej dobra. Bał się, żeby na morzu nie przydarzyło się coś niedobrego. Czasy były niespokojne. Sam morza się nie bał. Wiele przeżył i wyszedł cało. Wierzył w swoją siłę. Teraz czuł, że siły i wiara go opuszczają. Wił się jak piskorz na piasku.

* * *

Na trzeci dzień odjechali do Krasnowodzka. Podczas jazdy szukał jak najwięcej pracy: miał nadzieję, że ona go uleczy. Na statku nie mogli się nadziwić zmianom w charakterze kapitana. Nie znajdywali żadnych widocznych przyczyn i nie bardzo rozumieli nadmierną gorliwość, która czasem przekraczała wszelkie granice. Wszędzie go było pełno. Chwytał się każdej roboty, nawet pomagał przy myciu pokładu. Ale robił wszystko z jakąś złością. Rzadko się odzywał do załogi, która szeptała, że ich szefowi musiało się coś przytrafić paskudnego. Jednakże nikt nie miał odwagi podejść, nawet przy kieliszku, i po prostu zapytać: „Michaile Pietrowiczu, dlaczego jesteście nie takim jak dawniej?".

Daria Iwanowna miała aż za dużo czasu, aby rozmyślać nad przeżyciami ostatniego okresu. Łamała sobie głowę nad zmianą stosunku do niej Miszy,

człowieka tak niegdyś czułego i dobrego. Gdyby mogła przypuścić, że on o wszystkim wie, to sprawa byłaby jasna, aż może za jasna i byłaby zadowolona, że jej pierwsze i pewnie ostatnie szaleństwo – z tą niby miłością – tak dobrze się zakończyło. Uważałaby wtedy, że jej w duchu przebaczył, tylko wyznaczył kwarantannę na oczyszczenie się, na ewentualne przyznanie się do popełnionej winy, do błagania o przebaczenie, do całowania jego rąk i nóg. Ale skąd mógłby cokolwiek wiedzieć? Nikt nie widział, nikt nie wiedział, nikt nie mógł podejrzeć: dokoła ślepe mury bez okien. Czyżby inna kobieta w jego życiu? To chyba najpewniejsze. Z tym niepewnym przekonaniem mogła czasami zasnąć i resztę czasu poświęcała wypatrywaniu poprzez fale brzegu prawdziwej egzotycznej Azji.

Do Krasnowodzka przybyli pod wieczór. Ze świeżego morskiego powietrza wpadli prosto w objęcia suchego, gorącego powiewu.

– Może byśmy tak poszli wykąpać się i popływać, Dasza – powiedział Jegorow. Od dziecka był niepospolitym pływakiem. Jako szesnastoletni chłopiec przepływał bez odpoczynku dwukrotnie Wołgę pod Carycynem. Marzył o podróżach morskich i marzenia swoje zamknął ostatecznie na Morzu Kaspijskim. Dasza pływała „na pieska". Jegorow o tym dobrze wiedział. Znał również doskonale każdy skrawek dna Morza Kaspijskiego w okolicy Krasnowodska. Wiedział, gdzie długo można iść jak po gładkiej pochylni, a gdzie raptem nogi usuwają się i fale niespodziewanie zakrywają głowę i do otwartych ust wpada wyjątkowo słona woda.

Odpłynął daleko od brzegu. Dasza stała w wodzie, która sięgała jej zaledwie powyżej kolan, do połowy okrągłych i kształtnych, jak na ten wiek ud. Jegorow zawrócił w stronę brzegu i kiwnął ręką do żony:

– Chodź, nie bój się – doleciało do jej uszu ze wschodnim wiatrem. – Tutaj płytko.

Ruszyła, stopniowo macając ostrożnie po dnie palcami nóg. Woda sięgała jej do piersi i zaczynała podrzucać do góry. Jegorow podpłynął, parsknął kręcąc mokrą głową i zachęcał żonę:

– Pływaj, kochanie, po falach życia. One zmywają z nas wszelkie złe myśli, czasami nawet grzechy.

Ostatnie słowo zazgrzytało nieprzyjemnie w jej uchu. Oderwała nogi od dna i zaczęła młócić wodę rękami i nogami. Przepłynęła może dziesięć me-

trów i chciała stanąć na nogi. Dno uciekło. Zanurzyła się z głową, odbiła od dna i krzyknęła:

– Misza!

Był niedaleko. Udawał, że płynie do niej. W rzeczywistości wisiał w wodzie, przebierając rękami. Dasza ponownie skryła się w wodzie i jeszcze raz wynurzyła na powierzchnię z okrzykiem:

– Miszeńka, ratuj, ja tonę!

– Nie toniesz, nie toniesz – krzyczał z daleka. – Pij słoną wodę, ona cię oczyści, zbawi cię od wszelkich utrapień.

Ostatnie słowa nie dotarły do świadomości Daszy. Była już u kresu sił. Jegorow odbił się od wody, podpłynął do żony, wziął ją za podbródek, położył się na wznak i doholował do płycizny, postawił na nogi i zapytał:

– Dużo naleciało?

Bladła coraz bardziej. Nie odpowiedziała. Wyprowadził ją na brzeg, przełożył brzuchem na zgięte kolano. Nacisnął, wyleciało trochę wody. Ułożył na mokrym piasku. Otworzyła oczy.

– Zimno mi – wykrztusiła. Położył ją na ubraniu i przykrył swoją kurtką. Rozejrzała się dokoła i powiedziała:

– Żeby nie ty – utonęłabym...

– Też tak myślę – odparł.

* * *

Kiedy pewnego dnia wróciła z bazaru, zauważyła na stole grubą zaklejoną kopertę. Wzięła do rąk i wyczuła jakiś twardy przedmiot. Otworzyła. Wyciągnęła z niej klucz, który wydał się jej dziwnie bliskim i znajomym przedmiotem. Położyła go na szafce, wyjęła z koperty duży arkusz papieru złożony na czworo. Usiadła na kanapie i przeczytała:

Dario Iwanowna,

pewnej księżycowej nocy z soboty na niedzielę mogłem cię zabić we śnie razem z twoim młodym kochankiem. Mogłem was zmiażdżyć jednym uderzeniem pięści. Znasz moją siłę. Jeżeli nie zrobiłem tego, to równie dobrze wiesz, że w moim wielkim i silnym ciele siedzi malutka i strasznie litościwa duszyczka, dzięki której nie mam na sumieniu ani jednego człowieka. Co ja mówię? Nie mam na sumieniu

nawet psa lub kota. Chyba tylko rybę. Ale to już taki mój zawód. Pewnego popołudnia mogłem cię utopić, a raczej mogłem tylko cię nie ratować. Sama byś poszła na dno. I tego nie zrobiłem. Nie mógłbym potem znaleźć dla siebie miejsca na kuli ziemskiej. Za mną wlókłby się wiecznie twój okrzyk: „Miszeńka, ja tonę!". Takim słabym człowiekiem już jestem. Ale również nie mogę już być takim jak dawniej. Księżyc, który jest zwykle patronem i wspólnikiem zakochanych, nas rozdzielił na zawsze. Nie możemy nadal iść obok siebie jedną i tą samą życiową ścieżką. Stale będzie nas dzieliła uśmiechnięta, w naszym wypadku ironicznie, maska sierpniowego księżyca nad kominem sąsiedniego domu. Pragnąłem twojej śmierci, ale przekonałem się, że to nie rozwiąże sprawiedliwie naszego pożegnania. Biorę na siebie część winy: nie trzeba było zostawiać ciebie samej na długie tygodnie. Odjeżdżam na południe, do Iranu. Nigdy nie będę cię szukał i postaraj się o mnie nie myśleć. Jesteś jeszcze dość młoda, zdrowa i silna. Na pewno ułożysz sobie życie beze mnie. Przebaczam ci tę pomyłkę, która była może ponad twoje siły. Ale przebaczając, nie mogę, jak już powiedziałem, kochać cię jak dawniej, a bez szczerego uczucia życie jest niczym. Załączony klucz był największym naszym nieszczęściem. Gdyby nie on, wszystko byłoby pokryte tajemniczym milczeniem.

Jegorow

Pod niebem Kaukazu

I

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.
(Genesis, rozdział 1)

Mieszkałem na trzecim piętrze dużego drewnianego domu z głębokim, prawie okrągłym podwórkiem, wokół którego zwisały długie balkony. Na piętra prowadziły kręcone, skrzypiące ze starości schody. Gdy wchodziłem na płaski dach domu, przede mną rozciągało się w dolinie jedno z najpiękniejszych miast na świecie. W dzień nad głową wisiało gorące słońce, a w nocy – gwiaździste niebo.

Kilka razy dziennie przebiegałem przez podwórko, do którego rzadko zaglądało słońce. Tuż przy moich schodach, na samym dole widziałem często wysoką, chudą kobietę schyloną nad balią z bielizną. Była blondynką, a na jej z lekka pomarszczonej twarzy trudno było dopatrzyć się śladów południowego słońca.

Pierwsza wojna światowa trwała już trzeci rok. Dawała o sobie znać trudniejszym sposobem zdobywania środków do życia. Rosjanie bili Turków, ale strzały na tyłach jeszcze się nie rozlegały. Ludzie mogli w dzień spacerować bez podnoszenia głów ku górze, a w nocy spokojnie i bezpiecznie spać. Ostatnia w dziejach cywilizowanych narodów błogosławiona wojna.

Pewnego popołudnia na schodach rozległy się lekkie kroki i zapukano do moich drzwi. Stanęła w nich drobna, szczupła dziewczynka w okularach na małym, piegowatym nosku. Mogła mieć nie więcej niż czternaście, piętnaście lat. Ubranie wskazywało, że była uczennicą gimnazjum.

– Mamusia prosi, aby zarżnął pan koguta – rzekła cicho i nieśmiało.

– Ja? – Otworzyłem oczy.

– Tak, bo teraz na dole nie ma mężczyzn.

Ostatnie słowo podziałało na mnie niby trąbka do boju.

– Dobrze, przygotujcie nóż i koguta. Zaraz zejdę.

Uczennica pobiegła w dół. „Mężczyzna", który właśnie wkroczył w szesnasty rok życia, z całą powagą poszedł za nią.

Kogut tłukł skrzydłami o moje drżące łydki, gdy piłowałem jego szyję tępym nożem. Wreszcie wyrwał się z rąk kata i zaczął tańczyć hopaka. Spocony i czerwony krzyczałem:

– Łapcie koguta i dajcie ostry nóż.

Wziąłem się znowu do katowskiej roboty i ofiara legła u moich stóp. Uciekłem do siebie na górę, rzuciłem na łóżko i przeklinałem dziewczynę z jej matką, wojnę i cały stworzony przez Boga świat. Długo nie mogłem zasnąć, chodził mi po głowie tańczący kogut i po raz pierwszy spóźniłem się do szkoły.

Tak zapoznałem się z Gertrudą Agnieszwili i dowiedziałem się, że ta drobniutka dziewczynka skończyła szesnaście lat i chodziła do piątej gimnazjalnej. Usłyszałem również, że rosół nie miał nawet jednego oczka, a kogut był twardszy od zębów jej tatusia, Gruzina, który pracował jako bufetowy w Klubie Obywatelskim. Gdy był młody i przystojny, odbywał służbę wojskową w armii cara Mikołaja II nad Bałtykiem i tam właśnie poznał swoją przyszłą żonę, smukłą wówczas i zgrabną płowowłosą Gretchen, z pochodzenia Niemką. Przywiózł ją pod niebo gorącej i pięknej Gruzji. W miarę beztrosko przeżyli ładnych kilka lat, których owocem była jedynaczka Gertruda o ciemnych włosach. Swoją delikatną sylwetką nie pasowała do rodziców.

W drugim roku wojny w domu Gertrudy zaczęła się psuć atmosfera. Tatuś wracał do domu coraz później i wypijał coraz więcej czerwonego kachetyńskiego wina. Mamusia, aby związać końce domowego budżetu, wzięła się za pranie cudzej bielizny. Gertruda wracała ze szkoły i kręciła nosem w gorącym powietrzu, pełnym pary i zapachu mydlin.

Nadszedł maj i zbliżały się wakacje szkolne. Gertruda złapała dwie dwójki i nie przeszła do szóstej klasy. Na jesieni miała mieć poprawki. Z tego powodu rodzice Gertrudy po raz pierwszy poważnie się pokłócili.

– Żebyś nie pił tyle tego wina – mówiła mama.

– Żebyś nie prała tej głupiej bielizny – odpowiadał tatuś.

– A cobyśmy jedli, żeby nie ta bielizna – obstawała mama.

– Ja mogę jeść w Klubie – oznajmiał Agnieszwili.

– No myślę – twierdziła żona. – I tak ostatnio prawie wcale nie przynosisz pieniędzy do domu. Niedługo będziesz tam sypiać.

– Jeżeli zaczynam wam przeszkadzać…

– Uspokój się – przerwała mu żona – bo gotowa jestem ten kocioł z bielizną zamiast do balii tobie…

– Całkiem baba zwariowała. – Nie dał jej dokończyć groźby i wyszedł na podwórko, nucąc pod nosem: „Jeśli mnie nie kochasz, nad Kurę pójdziemy, więcej mnie nie zobaczysz, popłyniemy niczym ryby".

Nadchodzące lato nastrajało go pogodnie i nie wytrzymywał dłuższych, jego zdaniem niepotrzebnych rozmów. Wiosenne słońce rozleniwiało nie tylko jego ciało, lecz także umysł.

II

I zbudował Pan Bóg z żebra onego, które wyjął z Adama,
niewiastę i przywiódł ją do Adama.
(Genezis, rozdział II, w. 22)

Minęło kilka tygodni. Przez otwarte okno wdzierało się do pokoju gorące powietrze. Siedziałem przy stole nad rozmaitymi mapami i snułem plany podróży i przygód, które w przyszłości ziściły się w nieznacznym zaledwie stopniu. Jednak marzenia pozostały do najstarszych lat. Zawsze uważałem, że człowiek tak długo żyje, dopóki ma jakieś marzenia. Bez nich jest pustą powłoką. Naraz usłyszałem dyskretne kroki na schodach.

– Można? – zapytała Gertruda, wsuwając w szparę półotwartych drzwi piegowaty nosek, na którym trzymały się okulary o drucianej oprawie.

– Wspólniczka morderstwa zawsze może – odpowiedziałem.

– Jakiego znowu morderstwa?

– Koguta.

– Nie zapomniałeś jeszcze? – zdziwiła się, przechodząc szybko na koleżeńską stopę.

– Wystarczy mi na całe życie.

– Śmieszny jesteś. Tyle ludzi na froncie….

– Ale kogut na mnie nie napadał – przerwałem.

– Zgoda – przytaknęła. – Jak ci na imię?
– Mikołaj.
– Straszne.
– A niby dlaczego?
– Przecież nie jesteś carem?
– W swoim pokoju tak.
– Nie żartuj. Jak wołali cię w rodzinie?
– Kola.
– To już lepiej. Co teraz robisz?
– Podróżuję.
– Po mapach?
– Jeżeli inaczej nie można, to i tak dobrze.
– Na pewno dużo czytałeś o podróżach?
– O wszystkim.
– Na przykład?
– O ludziach, zwierzętach, pszczołach, mrówkach, religiach i innych różnościach, których najczęściej nie rozumiałem.
– A co najbardziej lubisz?
– Wiersze.
– Piszesz?
– A kto nie pisze w naszym wieku?
– Ja nie piszę.
– To będziesz pisała.
– Nauczysz mnie?
– Tego nie uczą.
– To jak ty piszesz?

Zapadła cisza. Postawiła pytanie, na które nie umiałem odpowiedzieć. Patrzyłem z zakłopotaniem na dziewczynę, która wyraźnie czekała na wyjaśnienie.

– Zwyczajnie – bąknąłem niepewnie. – Przychodzą raptem różne słowa do głowy i notujesz na papierze.
– To przeczytaj swój wiersz.
– Wyrzuciłem.
– Dlaczego?

– Bo zawsze potem mi się nie podoba.
– To po co piszesz?
– Muszę.
– Nie rozumiem.
– Jak zrobisz maturę – zrozumiesz.
– Kiedy znowu napiszesz?
– Wpadnij wieczorem.

Przyszła o zmierzchu, który nastąpił szybko po zniknięciu słońca za pasmami gór. Przeczytałem wiersz o jakiś wyczynach bohaterskich.

– Ładne – powiedziała Gertruda. – Zupełnie jak u Lermontowa.

Popatrzyłem w jej małe oczka schowane za szkłami okularów i podarłem kartki.

– Cóżeś zrobił? – krzyknęła Gertruda.
– Wyrzuciłem fałszywego Lermontowa – odparłem.
– Dziwak z ciebie.
– Trudno.
– A dokąd chodzisz na spacer?
– Najczęściej na górę świętego Dawida.
– Weźmiesz mnie ze sobą?
– Może.
– Kiedy?
– Pewnego popołudnia, kiedy słońce nie będzie takie gorące.

III

[...] i nie wódź nas na pokuszenie.
(z pacierza)

Chodziłem z Gertrudą do parku Aleksandrowskiego, aby szukać ochłody w cieniu różnych drzew i krzewów. Alejki prowadziły raz w dół, raz w górę, chodzili nimi ludzie starsi, zakłopotani codziennym życiem. Tylko młodzież szkolna wałęsała się beztrosko w oczekiwaniu końca wakacji. Z frontów dochodziły różne wieści: to nacierano, to odstępowano, ale zawsze zajmowano najważniejsze pozycje kluczowe. Zawsze ginęło dużo nieprzyjacielskich żołnierzy, a nasi grali w okopach na harmoniach i opowiadali

kawały o swoich wrogach. O tym, że zazwyczaj to kiszki grały z głodu marsza i często ciężko było spać w zalanych wodą rowach strzeleckich, wiedzieli tylko sami żołnierze i ich najbliżsi przełożeni.

Młodość ma swoje nienaruszalne prawa: między innymi do patrzenia na świat przez powiększające kolorowe szkło. W tym leży jej siła i słabość. Zwycięstwo i klęska. Miłość i nienawiść. Niewinność i rozpusta. Szczerość i kłamstwo. Pobożność i ateizm. Światło i ciemność.

Najczęściej wszystkie te zjawiska wybuchają gwałtownie i równie gwałtownie znikają, pozostawiając na dnie młodych dusz osad słodyczy lub goryczy, jakże często pozostający tam do najstarszych lat.

Pewnego dnia pojechałem funikularem[1] na górę świętego Dawida. Z wielu powodów lubiłem tam przebywać: orzeźwiające powietrze od północnych szczytów górskich, widok na miasto położone w kotlinie górskiej, uwiązany przy palu młody autentyczny niedźwiadek i Gruzini tańczący lezginkę. W prymitywnie skleconym duchanie[2] Gruzini piją wino i nucą melancholijne melodie w swoim języku. Niedźwiadek staje na tylnych łapach, a przednimi przechyla butelkę ze słodkim płynem lub bierze z rąk słodycze, podając włochate grube łapy z silnymi pazurami. Kiedy Gruzini tańczą, miś chodzi wokół słupa w takt klaskania.

Do miasta schodziłem zwykle piechotą. Ścieżka prowadziła koło grobu Gribojedowa. Siadywałem często na prymitywnej ławeczce przy mogile autora *Mądremu biada*. Rozmyślałem nad losem wielkich poetów w carskiej Rosji. Pisali i młodo ginęli. Ginęli dla narodu, który ich prawie nie czytał. Naród harował i spał. Był budzony tylko dla obrony zagrożonego tronu Romanowów.

Gertruda miała czekać na mnie u podnóża góry. I czekała. Wspinaliśmy się, chwytając się za cierniste krzaki. Wybraliśmy miejsce na gładkiej skale wysoko nad miastem. Gertruda miała ze sobą *Jamę* Kuprina.

– Skąd wzięłaś tę książkę? – zapytałem.

– A bo co?

– Pytam, kto ci dał Kuprina?

– Starsza koleżanka.

---

1 Kolejka linowo-terenowa.

2 Restauracja.

– Oddaj dziś i powiedz, że ona mi się nie podoba.
– Przecież jej nie znasz.
– Wystarczy, że czyta takie książki.
– Przecież to ładna książka.
– Ale nie dla dziewczynek.

Byłem blisko pół roku młodszy od Gertrudy, a zachowywałem się niczym starszy brat, nieomal jak opiekun lub nawet ojciec. Gertruda próbowała prowadzić strusią politykę. Wchodziła w wiek, kiedy już prawie dojrzała dziewczyna szuka rozwiązań zagadek życiowych na razie w książkach. Dowiaduje się z lektury najczęściej o brutalności i często o upadkach bohaterów. Rzadziej w dawniejszej literaturze prezentowany był człowiek silny, oddany ideom z prawdziwego zdarzenia. Mężczyzna kobietę wywyższał lub spychał na samo dno plugawego życia. Upadły anioł był ostateczną klęskę obojga. Kobieta zawsze pragnie być porwaną, ale nie poniżoną. Chce być zwyciężoną, ale pozostać zwycięzcą.

Chłopcy w większości wypadków są świntuchami, ale rzadziej się załamują po przejściu źrebięcego wieku i stają się normalnymi ludźmi. Ścieżka dziewczyny jest śliska – jedno niewłaściwe posunięcie może zwichnąć kręgosłup życiowy.

Gertruda zaczynała wkraczać po omacku w ciemny labirynt, na końcu którego nie widziała światła. Siedziała przygaszona nagłym moim gniewem. Patrzyliśmy na miasto schowane w zieleni pojedynczych drzew i parków, poprzez które wiła się wstęga Kury. Za nią na przeciwległym stoku ćwiczyli junkrzy szkoły wojskowej, która w przyspieszonym tempie wypuszczała młodszych oficerów. Słychać było śpiewy i odgłosy dętej orkiestry. Muzyka zagrzewa do życia, muzyka i śpiew zagrzewają do boju. Przy jej dźwiękach rodzi się odwaga i lżej się umiera. Każda czynność człowieka wymaga bodźców. Wyżsi dowódcy dbają o nie dla żołnierza. Jest jeden niezawodny środek na odwagę: alkohol, byle w miarę. Akurat tyle, żeby żołnierz szedł do przodu.

Gertruda nie miała powodów ku radości: wsłuchana w odgłosy, które dochodziły z centrum miasta, poprzez zakurzone okulary widziała przed sobą dwie poprawki z przedmiotów, których nie lubiła. Co gorsza – odkładała przygotowanie się do egzaminów na ostatnie tygodnie wakacji.

Nasze rozmyślania zakłócił zgrzyt wagonika liniowej kolejki.

– Kola – przerwała milczenie.

– Co takiego?

– Mogę cię o coś zapytać?

– Zawsze.

– Ale nie wiem, jak...

– Śmieszna jesteś. Mów, co ci leży na sercu.

– Czy kogoś w życiu lubiłeś? – wykrztusiła z głową schyloną w dół

– Co to znaczy kogoś? Ojca? Matkę? Brata?

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Czy lubiłeś kogoś obcego? Na przykład jakąś uczennicę lub w ogóle dziewczynę?

Zbaraniałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć, nie spodziewałem się takiego pytania. Przed moimi oczyma przebiegła moja niewielka przeszłość. Zapragnąłem powiedzieć „głupia gęś", ale nie chciałem robić jej przykrości – miała ich dosyć w domu i szkole.

– Dlaczego pytasz?

– Bo w książkach różnie o tym piszą.

– W książkach często zmyślają.

– I naprawdę tak nie bywa, jak piszą?

– Bo ja wiem. Czasami może i bywa.

– A z tobą nigdy tak nie było .... – nie umiała dokończyć.

– Jak?

– No, żebyś na przykład nie mógł długo zasnąć, bo o kimś myślisz. Albo chcesz płakać, ale nie ze złości, tylko raczej z radości. Jesteś smutny i jednocześnie zadowolony. W ogóle nie wiem, jak ci powiedzieć.

– Naczytałaś się różnych głupstw i teraz chodzą ci po głowie.

– Ale powiedz, czy nigdy nie sprawiała ci przyjemności obecność jakiejś osoby? Albo nie pragnąłeś jej widzieć za wszelką cenę? Chociażby na nią popatrzeć, a może trochę do niej się zbliżyć?

– Może coś się zdarzyło, ale przyszło i poszło w świat.

– Co to było?

– Kiedyś, to znaczy w zeszłym roku, mieszkałem pod Moskwą. Ojciec przed odjazdem na front zaprowadził mnie do swoich przyjaciół i prosił

o opiekę nade mną. Była tam młoda kobieta, która miała na imię Ludmiła. Chodziliśmy na spacery. Bardzo mnie polubiła. Ja byłem wprost w siódmym niebie...

– Co to znaczy w siódmym niebie? – przerwała.

– Głupiaś – wyrwało mi się. – Tak mówią starsi. Powiadam ci, że w jej obecności było mi dobrze...

– A widzisz – przerwała znowu triumfująco.

– Co widzisz?

– No, że było ci dobrze, znaczy, że byłeś trochę zakochany. Tak jak w książkach piszą.

– W książkach kochają się dorośli i o tym sobie mówią, a ja nic nie mówiłem i nawet coś takiego nie przychodziło mi do głowy.

– A może jeszcze kiedyś?

– To zupełnie co innego. Innym razem zaprosił mnie kolega do swojego domu. Miał starszą siostrę. Jej mąż był na froncie. Wieczorami grywaliśmy w loteryjkę i inne gry. Pewnego wieczora przyniosła od swojej cioci woreczek kamyków znad Czarnego Morza i każdy miał wybrać, nie zaglądając do woreczka, po pięć kamyków do gry. W woreczku spotykały się palce moje z palcami tej kobiety. Nie cofnęła ich. Przeciwnie: ściskała moje.

– I co dalej?

– Nic.

– Jak to nic?

– Mówię ci, kozo jedna, że nic. Na tym zabawa się kończyła.

– To po co trzymałeś jej rękę?

– Bo było przyjemnie.

– A widzisz! – nieomal wrzasnęła. – Mówiłem, że kiedy się kogoś kocha, to przyjemnie na niego patrzeć lub go dotykać.

Zauważyłem, że Gertruda lekko niezauważalnie przesunęła się w moją stronę. Poczułem jej ramię przy swoim.

Nadchodził wieczór. Nad miastem zawisła gorąca mgiełka. Ostatnie promienie zachodzącego słońca żegnały wschodnie stoki niskich gór. Zapadał powoli zmierzch i powiał ledwo odczuwalny zachodni wiatr. Daleko na przedmieściu zaryczał osiołek. Tu i ówdzie rozbłysły miejskie światełka. Z Prospektu Gołowińskiego doleciał tramwajowy dzwonek. Junkrzy ze śpie-

wem wracali plutonami do koszar, wyglądając z daleka jak ołowiane żołnierzyki. Stopniowo miasto pogrążało się w nadchodzącym wieczorze. Coraz bardziej natomiast wyłaniało się morze świateł. Pojawiły się pierwsze bladawe gwiazdy.

Gertruda milczała. Czubkiem bucika kreśliła kółka na żwirowatym piasku. Gdy już prawie się ściemniło, skierowała piegowaty nosek w moją stronę i złożyła lekki, drżący pocałunek na moim policzku. Właściwie delikatne muśnięcie wargami. Udałem, że nie stało się nic nadzwyczajnego. Pobiegliśmy w dół. Wpadliśmy w ciepłe, nagrzane słońcem powietrze.

IV

Szala na przeznaczeń wadze
Unosi się w górę i opada.
J.W. Goethe

Gertruda poprawkowych egzaminów nie zdała i musiała powtarzać piątą klasę. Była jedną ze starszych uczennic. Miała nowe koleżanki, których wcześniej nie znała. Zerkały na nią i coś do sobie szeptały. Pasowała do nich jedynie drobna figura Gertrudy.

Po kilku wietrznych i deszczowych dniach wrześniowych ponownie nastała słoneczna, nawet gorąca pogoda. Biegaliśmy do szkół w rubaszkach i bluzkach. Przy porannym czystym niebie odprowadzała nas często biała czapa Kazbeku. Ciągnęło od niej chłodem. Wydawało się, że jest tak blisko, ale przestrzeń górska jest złudna. Łatwo w niej się zatracić.

Gertruda nieraz umyślnie wyczekiwała, aż zejdę na podwórko, aby razem iść do szkoły. Dotychczas nigdy nie chodziłem z dziewczynami w jej wieku. Połowę drogi mieliśmy wspólną. Dopiero za mostem Weryjskim żegnaliśmy się i każde szło w inną stronę.

W starszych klasach szkół męskich coraz częściej politykowano. Dochodziło do nas plotki o korupcji na dworze carskim, o zdradach wyższych dowódców oraz ich powiązaniach z niemieckim wywiadem, o cudownych wyczynach mnicha Rasputina i lubieżnej carycy. Carski dwór zaczynał cuchnąć chucią, która przykrywała zdradziecką politykę. Nie podobało to się wielu ministrom. Car był bezradny.

Pewnego dnia nie mieliśmy dwóch ostatnich lekcji. Wyszedłem ze szkoły wcześniej niż normalnie. Łagodne słońce zapraszało do włóczęgi po mieście i parkach. Zaskoczyła mnie obecność Gertrudy w parku Aleksandrowskim. Była to niespodzianka dla nas obojga. Siedziała na ławce w bocznej alejce pod nieskazitelnie granatowym niebem, jakie może być tylko w pobliżu czterdziestego równoleżnika.

– Wagary? – popatrzyłem jej w oczy.

– To samo mogłabym powiedzieć pod twoim adresem.

– Przegrałabyś, bo w naszej klasie nawalił belfer.

– A u nas nie nawalił.

– Więc wagary?

– Może.

– Z powodu?

– Nie lubię fizyki i chemii.

– Robisz to samo co w zeszłym roku?

– Na to wygląda.

– Właśnie źle wygląda.

– I ty też?

– Niby co?

– Zaczynasz jak rodzice.

– Pouczać?

– Nie. Krzyczeć.

– Widocznie zasługujesz…

– Już mi wszystko zbrzydło.

– Co wszystko?

– Wszystko. I dom, gdzie prawie co wieczór pijany ojciec czepia się matki, i te mydliny, i ta szkoła, gdzie wyzłośliwiają się koleżanki, a właściwie ich nie mam. I ty…

– Co ja? – przerwałem jej.

– Nawet i ty mnie nie lubisz.

– A kto ci to powiedział?

– Bo czuję.

– Źle czujesz.

– A właśnie, że dobrze.

– Po czym poznajesz?

– Bo nie jesteś dla mnie dobry.

– A co mam robić, żeby być dobrym?

– Być takim jak ja.

– Jakim takim?

– Takim.

Obejrzała się wkoło. Alejka była pusta. Objęła mnie mocno i pocałowała w oba policzki.

– Takim właśnie – powtórzyła.

– Będę takim – wyrwało mi się niespodziewanie – jeśli przestaniesz chodzić na wagary, zaczniesz przynosić dobre stopnie i zrobisz maturę. Wtedy pocałuję.

– Dopiero?

– Tak.

Gertruda odwróciła się. Zakryła twarz rękami. Po jej drgających ramionach domyśliłem się, że płacze. Byłem na siebie zły. Moje niedołężne moralizatorstwo odniosło wręcz niepożądany skutek. Miałem wrażenie, że moja młodzieńcza filozofia niepodparta życiowym doświadczeniem rozłazi się niby poranna mgła nad łąkami po wschodzie słońca. Przypomniało mi się, nie wiem dlaczego, powiedzenie Jarosława R. Vavry: „Idę po omacku. Potykam się".

Czułem się niewiele lepiej niż wtedy, gdy zarżnąłem koguta. Po raz drugi byłem zły na wiele rzeczy. I na siebie również. Żal mi było Gertrudy, ale nie widziałem jej gwiazdy na niebie.

V

To długo nie potrwa, zanadto się z tym afiszuję.
A. Renoir

Od tego spotkania upłynęło kilka dni. Gertruda, która dawniej czekała na mnie, abyśmy razem szli do szkoły, zaczęła mnie unikać. Nie mogłem przeżyć dnia, żeby nie wiedzieć, co się z nią dzieje. Znalazłem na to sposób: kolega miał młodszą siostrę w klasie Gertrudy. Zrobiliśmy z niej konfidenta. Kazaliśmy jej mocno zaprzyjaźnić się z Gertrudą, pozyskać jej zaufanie

i zdobywać najintymniejsze zwierzenia. Zaczynało nas to bawić. Coś niecoś słyszeliśmy o wojskowym wywiadzie, o szpiegostwie. Kolega lubił kryminały. Założyliśmy niby to oddział wywiadu, niby to biuro detektywów.

Po dwóch tygodniach mieliśmy pierwsze poufne komunikaty. Gertruda coraz częściej opuszczała niektóre lekcje i po cichu znikała ze szkoły. Do końca lekcji przesiadywała przeważnie w bocznych ukrytych alejkach parku. Potem wychodziła na światło dzienne, ale do domu nie zawsze się śpieszyła. Wolała znosić głód niż wcześniej wrócić. Jeżeli już przychodziła o czasie, to zaraz po obiedzie wychodziła „do koleżanek".

Tymi „koleżankami" stały się ulice, parki, brzegi Kury. Dopóki w szkołach trwały lekcje, chodziła po centrum miasta od wystawy do wystawy sklepowej, wciskała się do wąskich i hałaśliwych uliczek majdanu, potem szła do parku Musztaidi, gdzie nie spodziewała się spotkań z niepożądanymi osobami. Nie mogła samotnie siedzieć w zacisznych zakątkach, bo często po jakimś czasie dosiadał się do niej jakiś starszy pan o niesympatycznym wyglądzie, zazwyczaj słabo ogolony i z mętnymi oczami. Najpierw zagadywał, potem sięgał po jej drobną rękę, ściskał i mówił, że lepiej byłoby pójść za miasto lub ewentualnie do niego, bo jest samotnym, biednym, opuszczonym przez wszystkich wdowcem i chciałby mieć taką maleńką córeczkę. W domu ma dużo ładnych rzeczy, z niektórymi nie wie co robić i chętnie dałby je miłej i dobrej dziewczynie, właśnie takiej jak ona. Obiecywał jeszcze dużo innych rzeczy zupełnie jak w bajce. Bóg zsyła anioła na ziemię, aby zbawić maleńką zabłąkaną owieczkę.

Ale Gertruda patrzyła w ziemię, łamała suchy patyk na drobne kawałki i odrzucała je daleko. Jej myśli były bardzo odległe od tego, o czym mówił starszy pan. Jego słowa docierały do niej jakby przez sen. Nie przywiązywała do nich żadnego znaczenia. Widziała przed sobą tylko twarz, która przypominała jej niedobrego Kolę. Wstawała i nic nie mówiąc szybko odchodziła. Starszy pan cmokał rozczarowany i odprowadzał ją wzrokiem, aż sylwetka Gertrudy znikła za zakrętem alei.

Wracała do domu wygłodzona. Zjadała z apetytem talerz zupy z kiepskim czarnym chlebem i jak grzeczna córeczka wsadzała nos w książkę. Mamusia patrzyła z zadowoleniem na pilną córeczkę, która ledwo zjadła, a już wzięła się za lekcje. Darowała jej powtarzanie klasy i usprawiedliwiała przed ojcem trudnościami wojennymi, szkodliwymi wpływami koleżanek i innymi nieza-

leżnymi od niej okolicznościami. Matka była zbyt zajęta i nadmiernie ufała swojej jedynej córeczce, aby sprawdzić, co ona czyta, lub po prostu zapytać, co tam słychać w szkole.

Okazało się z czasem, że nasz „oddział wywiadu" nie był jedynym źródłem dostarczającym wiadomości o życiu Gertrudy. Klub Obywatelski, gdzie pracował tatuś, był niewyczerpaną kopalnią wszelkich plotek i prawdziwych opowiadań nie tylko o polityce, ale również o zdarzeniach w mieście. Spotykało się tam mnóstwo jeszcze młodych i zdrowych ludzi, którzy nie potrafili jakoś pójść na front. Jedni wpadali po pracy, aby zalać robaka; drudzy, przy szklance wina lub koniaku załatwiać interesy korzystne dla obu stron. Inni znowu po prostu spędzali czas przy słuchaniu rozmów ludzi mających w czubie i ewentualnie zanosili treść tych rozmów tam, gdzie na nie czekano.

Do tatusia Gertrudy docierało dużo słów. Jedne wpadały i odlatywały bezpowrotnie, drugie zatrzymywały się na chwilę i zostawały wkrótce zapomniane, ale niektóre wrzynały się ostro i pozostawały na długo. Te ostatnie tyczyły ludzi, których znał ze słyszenia lub widzenia, a czasami osobiście. Najlepiej zapamiętywał słowa dotyczące spraw związanych z jego życiem i nieraz natrętnie brzęczały mu w uszach jak owady, których nie sposób odgonić.

Takimi były ostatnio zasłyszane przypadkowo plotki o pewnej uczennicy, powtarzającej rok i błądzącej często bez określonego celu po parkach. Gdy usłyszał, że dziewczyna ta jest drobnej budowy i nosi okulary, poczuł ukłucie najpierw pod żebrami, a potem bolesny ucisk w okolicach serca. „Czyżby..." – pomyślał i nalał sobie pół szklanki kachetyńskiego czerwonego.

Do domu wrócił bardziej niż zwykle posępny i małomówny. Popatrzył spode łba na siedzącą potulnie córkę. Nie odzywał się. Nie był przekonany o prawdziwości plotek. Gdyby naprawdę tak się wydarzyło, byłaby biedna. Krew w jego żyłach mogłaby się nagle zagotować i nie ręczyłby wówczas za siebie: nie na próżno był dzieckiem gorącego Zakaukazia. Ludzie Zakaukazia są więcej niż gościnni, otwierają duszę na oścież przed każdym, obdarzają wszystkich bezgranicznym zaufaniem, ale niech tylko choćby najmniejszy cień zdrady zapadnie w ich duszę – za siebie nie ręczą.

Siedział na skraju łóżka z głową opartą na łokciu. Myśli kłębiły się pod czaszką, która nieco bolała od wypitego przed wyjściem wina. Nie wytrzymał. Zapytał:

– Jak tam ze szkołą?

– Normalnie – odpowiedziała nieśmiało.

Bała się. Po raz pierwszy padło ze strony ojca takie pytanie. Nigdy dotychczas nie interesował się tymi sprawami. Gertruda była zdziwiona i zaskoczona.

– Co znaczy normalnie? – powtórzył.

– Lekcje odbywają się normalnie, jak zwykle.

– I ty chodzisz jak zwykle?

– Czasami wychodzę wcześniej.

– Z powodu?

– Tatuś wie przecież, że powtarzam rok i na niektórych lekcjach mogę nie bywać.

– I co wtedy robisz? Idziesz do domu?

– Nie, tatusiu, takie ładne dnie, niedługo przyjdą chłody...

Namyślała się.

– I łazisz sama po parkach?

– Czasami.

Podskoczył jak poparzony, chwycił w swoje łapska kruche ciałko i pchnął w stronę matki.

– Żeby to było po raz ostatni – powiedział, marszcząc brwi.

Tego dnia poszła spać bez kolacji. Matka czekała, aż ojciec zaśnie. Chociaż była zła na córkę, podeszła do kredensu, ułamała kawałek lawasza i wsunęła jej pod poduszkę. Matczyne serce nie wytrzymało.

* * *

Następnego rana Gertruda poszła do gimnazjum. Siedziała spokojnie na pierwszych dwóch lekcjach. Potem miała być matematyka. Zwinęła notatki i po cichu wymknęła się ze szkoły. Szła w stronę mostu. Przystanęła na nim i przyglądała się wodom, które płynęły na wschód aż do Morza Kaspijskiego. „Gdybym ja tak mogła – myślała Gertruda – płynąć jak ta woda poprzez góry i doliny, przez skały i pustkowia, pojawiać się wśród aułów i znowu chować się przed ludźmi... Płynąć nieustannie aż do kresu i połączyć się z wielką masą wód i rozpłynąć po nich bez śladu".

Doszła do parku Aleksandrowskiego, zaszyła się w gęstej alejce. Liście drzew i krzewów zaczynały powoli zmieniać kolory. Zbliżała się nie tyle

chłodna, ile wietrzna kaukaska jesień. Marzenia odleciały – z dziewczyną została na ławce smutna rzeczywistość. Nasłuchiwała szmeru strumyka po kamykach. Gdzieniegdzie odzywały się ptaki. Pająk łączył gałązki krzewów swoją zdradziecką siecią. Pomimo słońca park się wydawał Gertrudzie ciemnym, ciasnym i jakby zamkniętym światem.

Wstała i wyszła na główną ulicę. Doszła do placu Erywańskiego i zatrzymała się przy narożnym sklepie bławatnym. Patrzyła na różnokolorowe materiały. Najbardziej podobały się jej te w desenie wschodnie o łagodnych geometrycznych figurach.

Poczuła obok siebie jakąś osobę. Jej wzrok padł na śniadą, spaloną słońcem, nieco spłaszczoną twarz o wystających z lekka kościach policzkowych młodego oficera. Złote naramienniki, nowe paski na mundurze i szabla wskazywały na świeżo upieczonego dowódcę plutonu lub kompanii carskiej armii, która jeszcze podtrzymywała prestiż Imperium Rosyjskiego.

– Ze szkoły? – zagadnął.

– Może i ze szkoły.

– Do domu?

– A dokąd może iść uczennica?

– Na przykład na spacer.

– Mam dosyć ulicy.

– Ja nie mówię o ulicy.

– A o czym?

– O dalekim spacerze. Może daleko za rzekę, na drugi kraniec miasta, może nawet świata. Nie można się kręcić w zamkniętym kole, jakim jest centrum chociażby i pięknego grodu.

– Nie widzę nic ciekawszego.

– Przestrzeń, moja panienko, przestrzeń. Otwarte okolice, cisza, przyroda. O, chociażby tam. – Wskazał ręką na oddalone stoki poza miastem.

Gertruda nie zdawała sobie sprawy, że idzie obok człowieka, którego zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Głos jego mile wpadał do jej uszu, przenikał do wewnątrz i tam łaskotał w dziwny sposób. Szli Prospektem Gołowińskim, aż doszli do mostu. Na chwilę zatrzymali się i patrzyli na wiszące nad wodą balkony – galerie – na których bawiły się dzieci lub wisiała bielizna pościelowa. Szli dalej aż do torów kolejowych. Ruszyli po

szynach, trzymając się za ręce i śmiejąc, gdy spadali na podkłady kolejowe. Potem się zakładali, kto przejdzie najdłuższy odcinek. Najpierw z oczami otwartymi, potem z zamkniętymi. Kiedy Gertruda zbaczała z szyn, on podskakiwał i podtrzymywał ją za ramiona i niby niechcący lekko przytulał do siebie.

Gertruda na chwilę zapominała o rzeczywistości, sprawiała wrażenie lunatyczki. Oderwała się od ziemskich spraw i beztrosko poddawała się woli nieznajomego człowieka.

Na stoku za miastem powiał chłodniejszy wiatr. Po niebie sunęły poszarpane chmury i gdy przykrywały słońce, Gertruda kuliła się w lekkiej białej bluzeczce i granatowej plisowanej spódniczce.

– Zimno ci? – zapytał poufale chorąży Wilczyński.

– Trochę – szepnęła.

– Zaraz będziemy na miejscu.

– Na jakim miejscu?

– Koło naszej szkoły.

– Co z tego?

– Ja tam mieszkam – pokazał palcem. – Widzisz mały biały domek na wzgórzu?

– Widzę, ale chyba będzie padać. Muszę uciekać.

– Nie zdążysz. Do mnie bliżej.

Chwycił ją za rękę i szybko poszli. Nie upierała się.

Weszli do obszernego pokoju o dwóch oknach. Zwykłe koszarowe umeblowanie: szafa, żelazne łóżko przykryte kocami, stół, dwa krzesła i kilka innych drobiazgów niezbędnych do kawalerskiego przejściowego życia. Okna wychodziły na niezabudowaną przestrzeń. Słońce zajrzało przez zakurzone szyby i schowało się za ciemną chmurę. Kilka kropli deszczu zastukało po blaszanym gzymsie i słońce ponownie wyjrzało zza chmur.

– Zaraz zrobię herbatę – powiedział, stawiając zakopcony imbryk na prymusie.

Otworzył szafę. Postawił na stole pleciony koszyczek z chlebem, puszkę konserw i napoczętą butelkę czerwonego wina.

– Jesteś pewnie głodna?

– Trochę.

Po raz pierwszy w życiu wypiła nieco wina. Chciwie jadła konserwę z chlebem i starała się nie patrzeć na gościnnego gospodarza, któremu przychodziły do głowy różne dziwaczne myśli z powodu tak nieoczekiwanej znajomości z dziewczyną, w dodatku uczennicą. Zaczynał powątpiewać w prawdziwość przygody, bo inaczej nie mógł traktować tego zdarzenia. W zasadzie był zadowolony, ale nie mógł zrozumieć motywów, które skłoniły ją do uległości jego dotychczasowym, co prawda przyzwoitym propozycjom. „Czyżby tylko przebrała się za uczennicę", medytował, obserwując zachowanie się Gertrudy.

Dolał wina. Wypiła. Na policzkach ukazały się rumieńce. Gertruda zaczęła się śmiać.

– Co cię rozśmieszyło? – zapytał podejrzliwie.

– Po prostu jest mi wesoło.

Z dziobka imbryka buchała para, pokrywka brzęczała.

– Możesz nalać sobie i mnie herbaty – powiedział.

Uniosła się z krzesła i momentalnie opadła.

– Co ci jest? – zdziwił się.

– Nie wiem. Nie mogę ustać na nogach – odpowiedziała i nadal się śmiała.

Zrozumiał: była po prostu pijana.

– Żebym wiedział, to nie dałbym ci tyle wina.

– Nie szkodzi. Jest mi teraz bosko. Nigdy takiego czegoś nie odczuwałam. Cały twój pokój kręci mi się i wszystko takie śmieszne.

Był mile zaskoczony słowem „twój", czego nie oczekiwał.

– Połóż się na chwilę na łóżku, to ci przejdzie.

Obleciał go strach, że dziewczynie może być źle i co wtedy zrobi. Jest co prawda wojna, ale prawo jeszcze działa. W razie czego, jak się wytłumaczy z obecności uczennicy w jego pokoju. Wprawdzie nikt nie widział, gdy wchodzili. Mogło jej zrobić się niedobrze na ulicy. „Ale moje wino", pomyślał. Na skronie wystąpiły mu kropelki potu. Wyobraźnia podsuwała rozmaite przypuszczenia. Już widział siebie nawet w prasie.

Gertruda tymczasem leżała spokojnie z przymkniętymi oczami. Usiadł przy niej na brzegu łóżka. Nachylił się i pocałował w czoło. Otworzyła oczy i na jej ustach ukazał się ledwo widoczny uśmiech. Przyłożył usta do jej zamkniętych cienkich warg. Objęła go za szyję i mocno pocałowała.

– Czy ty naprawdę chodzisz do gimnazjum? – wyrwało mu się mimo woli.

– Nie nudź teraz o szkole, nie psuj mi dobrego nastroju. Pozwól mi uciec trochę od rzeczywistości.

Milczał. Niczego nie rozumiał: Ujął ją za ramiona, przytulił. Była zadowolona. Poczuła jego gorącą rękę na swoim udzie. Wilczyński stracił nad sobą panowanie. Pokrył twarz Gertrudy pocałunkami, która przeciągnęła się i przytuliła do niego.

Przez okna wciskały się dźwięki trąbki na apel wieczorny. W miłosnym uścisku nie słyszeli nawet pukania ordynansa.

VI

Gdy był imć Adam ziemi bryłą, Bóg stworzył człeka z niego.
Lecz z łona matczynego iłu Coś wyniósł przyziemnego.
J.W. Goethe

Tej nocy ojciec Gertrudy miał dyżur w klubie. Było ciemno, kiedy córka przybiegła do domu. Było jej gorąco i z powodu przeżyć, i ze strachu przed rodzicami. Nie bardzo zdawała sobie jeszcze sprawę z tego, co tego dnia się wydarzyło. Wiedziała, że jej życie poszło raptem inną drogą, niż chadzało dotychczas. Wiodła ona do stojącego na wzgórzu białego małego domku, który nie znikał sprzed jej oczu.

Żeby nie dopuścić matki do jakichkolwiek pytań, zasypała ją litanią zmyślonych spacerów z koleżankami, które zaprosiły ją na obiad i nawet poczęstowały winem. Poszła wcześniej spać i nazajutrz wcześniej wstała. Nagrzała wody, umyła się i po śniadaniu wyszła do szkoły. Matka tego dnia spała dłużej, zmęczona praniem bielizny.

Gertruda pokazała się jedynie na pierwszej lekcji i zaraz pomknęła w kierunku małego domku na wzgórzu. Wilczyński po kursie został instruktorem i czekał na przybycie do szkoły młodych kandydatów na junkrów. Nigdzie mu się nie śpieszyło. Leżał jeszcze w łóżku i przeglądał regulaminy. Należeć do kadry szkolnej znaczyło być daleko od frontu. Komu się śpieszy do rzeźni? Nawet krowa wyczuwa swój koniec, kiedy ją prowadzą nie na pastwisko. Myśli Wilczyńskiego błądziły zresztą daleko od wojny – myślał o młodej uczennicy i nie bardzo mógł zrozumieć motywów, które pchnęły ją w jego ramiona. W zasadzie

był brzydkim mężczyzną, tyle że młodym i zdrowym. Znał różne kobiety, same wycieruchy, z którymi niechętnie spotykał się po raz drugi. Ale Gertruda?

Nie zdążył coś konkretnego o niej pomyśleć, usłyszał delikatne, ciche stukanie do drzwi.

– Nie myślałem, że przyjdziesz tak wcześnie. Sądziłem raczej, że nie zechcesz mnie więcej widzieć, może nie zechcesz więcej znać.

– Źle o mnie myślałeś. Widzisz, że jestem.

– A szkoła?

– Dziś prawie nie było lekcji – kłamała fachowo.

– A nie gniewasz się na mnie za wczorajsze?

– Co wczorajsze? Jak się zachowałeś?

– Gertrudo, albo jesteś nieprzytomna, albo twój duch stoi przede mną lub jakaś zjawa nie z tego świata i opowiada istne bajki.

– Ładnie mówisz.

– Ale źle robię.

– Co źle robisz?

– Czuję, że przeze mnie opuszczasz lekcje.

– To nie ważne.

– A co ważne?

– Że jestem tutaj i mnie lubisz.

– Kto ci to powiedział?

– Ty sam, swoimi pieszczotami.

– Żartujesz?

– Wcale nie. Wczoraj miałam swój pierwszy dobry sen. Zawsze miewałam złe sny.

– Jakie złe?

– Że nie umiem lekcji, że ojciec chce mnie bić, że mnie nikt nie lubi… Krzywo na mnie patrzą, dokuczają mi…

– A może te złe sny sprawdzają się na jawie?

– Daj mi spokój. Nie przyszłam, żebyś mnie egzaminował… lepie…

– Co lepiej? – przerwał jej.

– Lepiej mnie pocałuj.

Przytulił Gertrudę. Była zachwycona. Długo nie została. Akurat tyle, aby przyjść do domu w porze, o jakiej uczniowie wracają do domu. Miała pogod-

ną twarz, na której rysowało się zadowolenie. Dostała lepszy obiad. Jadła z apetytem. Serce matki stało się lekkie jak nigdy dotychczas. Wcale nie czuła, że ma je w swoim ciele. Tak lekko, tak przyjemnie się oddychało, patrząc na grzeczną córeczkę, która wraca do domu o właściwym czasie, wraca i jest zadowolona. Na pewno dobrze poszło jej w szkole. Jednak będzie miała pociechę na starość ze swojej jedynaczki, a już wyglądało gorzej....

Matka rozmyśla o tym wszystkim po cichutku, nie próbując rozmawiać z córeczką. Bała się, aby jej marzenia nie odleciały.

Gertruda czyta książkę, wieczorem przewraca zeszyty szkolne i podręczniki. Coś pisała, jakby odrabiała lekcje. Tego wieczoru w domu panowała cisza i harmonia. Nawet ojciec nie był nachmurzony.

Po podwórku wiatr gonił jesienne kolorowe liście, które przez bramę wleciały z ulicy.

* * *

Nazajutrz Gertruda zamiast do szkoły poszła do parku. Czytała książkę, ale jej myśli były daleko. Leciały za rzekę, za most. Na każdej stronie widziała mały domek na wzgórzu. I jego śniadą, spaloną słońcem twarz. Wstała i pospieszyła, aby go powitać.

* * *

Koło południa do mieszkania Agnieszwilich zapukała młoda dziewczyna.

– Czy Gertruda jest chora?

– Dlaczego, moje dziecko?

– Bo już drugi dzień nie przychodzi do szkoły...

– Chyba się mylisz, panienko?

– Ale nie, proszę pani. Nasza wychowawczyni dobrze wie. Właśnie kazała mi się dowiedzieć.

– Dziękuję – ściągnęła brwi Agnieszwili.

Czekała z niecierpliwością na powrót córki, a w jej głowie kłębiły się różne myśli. Serce dało znać o swoim istnieniu w przepracowanym ciele. Miała chwilami pewne wahania, pewne złudzenia. Próbowała pocieszać się myślą, że w szkole może się mylą, może ktoś ze złości. Przecież niektórzy dawali jej czasem odczuć, że właściwie to jest Niemką, że przez tych Niemców wszyscy

muszą jeść chleb, którego nie rusza pies. A co będzie dalej, jeżeli wojna się nie skończy? To wszystko prawda, ale nie jej wina, że zakochała się w synu Gruzji i służy mu wiernie, wierniej od psa, od nałożnicy. Robi wszystko, aby utrzymać ten dom, aby podchmielony mąż nie mruczał, aby kochana córeczka miała czystą sukienkę, czysty fartuszek, a tu przychodzą i mówią... Chcą ją zabić... Pogrzebać żywcem... A jeżeli to prawda?

Tego dnia źle się prało. Mydło stale uciekało z drżących rąk. Wciąż widziała w drzwiach cudzą dziewczynę, wciąż w głowie huczały słowa: „Bo już drugi dzień nie przychodzi do szkoły...". Przypomniała sobie podejrzenia ojca i jego oburzenie, że chodzi czasami na wagary. Może taka jest prawda? Może córka kłamie?

Odeszła od balii. Spojrzała na zegarek: niedługo będą wracać ze szkół. Poczuła jak po plecach przeleciał dreszcz. Wolałaby nie rozmawiać z córką.

Słońce wysunęło się zza wysokiego komina i rzuciło kilka ciepłych promieni, które sięgnęły zaledwie drugiego piętra.

* * *

Gertruda wpadła rozradowana i po spojrzeniu na matkę od razu przygasła – jej wygląd ją zasmucił. Czuła, że w domu stało się coś nieoczekiwanego. Radosna, gotowa była rzucić się matce na szyję i wyznać swoje szczęście. Gotowa była razem z matką objąć cały świat, który wydawał się jej teraz pięknym. Jednocześnie utopić w oceanie szkołę wraz z profesorami, którzy stali na drodze do nowego życia. Nie zauważyła, że nie było jeszcze obiadu i matka jakoś nie śpieszyła się z gotowaniem.

Gertruda siedziała cichutko. Wyjęła jeden z zeszytów i napisała:

Twoje usta ogniste,
twoje mocne dłonie...

Ścisnęła zębami ołówek i patrząc w okno, dodała:

Biały domek na stoku,
co za szczęście w męce...

Odłożyła zeszyt. Matka postawiła przed nią talerz odgrzanej wczorajszej zupy i czekała na jakiś ruch ze strony córki. Bała się pierwsza wszczynać rozmowę. Zapadał zmierzch. Na ten moment czekała właśnie Agnieszwili, kobieta sterana i niemająca odwagi patrzeć dziecku prosto w oczy. Miękkie serca boją się światła.

– Jak tam w szkole? – zapytała drżącym głosem pełnym ukrytej nadziei.

– I dobrze, i niedobrze, mamusiu.

– Co to znaczy?

– Bo ja mam trochę dwójek.

– Jak się nie chodzi do szkoły, to trudno mieć piątki.

– Ja chodzę, mamusiu.

– Ale dokąd, pytam?

– Do szkoły, mamusiu.

– Kto cię nauczył kłamać? Chyba nie ja i nie ojciec?

– Naprawdę chodzę, tylko nie na wszystkie lekcje.

– Dziś byłaś?

– Byłam.

– Kłamiesz. Wiem, że nie byłaś. – Wizytę koleżanki zataiła. – Co będzie, gdy dowie się o tym ojciec? Wiesz, jaki on jest. Nie będę cię więcej broniła. Co zamierzasz dalej robić?

– Nie wiem.

– Co znaczy nie wiem? Najlepiej tak powiedzieć. Ja mam wiedzieć? W twoim wieku harowałam jak dziki osioł.

– Może ja pójdę do roboty – bąknęła pod nosem.

– Ty? Do roboty? Chyba na spacery z tym oficerem?

– Z jakim oficerem, mamo?

– Już ty nie kręć, córuchno. Dosyć się nasłuchałam. Myślałam, że to bzdury, złośliwe plotki. Nie udawaj głupiej. Czekaj, niech no tylko przyjdzie ojciec. On ci pokaże spacery.

– Jeżeli mama powie ojcu…

– To co? – przerwała matka.

– To ucieknę z domu.

– Oszalałaś?

– Nie pozwolę się bić.

– A, że mnie zabijasz, nie przychodzi ci do głowy?

– Ja mamusi niczego złego nie robię.

– Zgłupiałaś do reszty. Nawet nie wiesz, co wygadujesz. Co za diabeł cię opętał?

Wejście ojca przerwało rozmowę.

Nazajutrz, mimo twardego postanowienia pójścia do szkoły, Gertruda udała się, niby przyciągana magnesem, w kierunku białego domku. Doliną gnały porywiste wiatry, chmury rwały się na wielkie postrzępione płaty, między którymi wyskakiwało słońce październikowego poranka. Chłód przenikał przez lekką bluzkę. Do piersi przyciskała zeszyt szkolny, w którym czasami zapisywała całkiem nieszkolne myśli.

Na betonowych schodkach do mieszkania Wilczyńskiego siedział mały, opalony, bosy chłopak w krótkich wyświechtanych spodenkach i koszulince z dziurami na łokciach. Domek osłaniał go od zimnych wiatrów. Było mu ciepło od południowej ściany. W ręku trzymał kopertę.

– Co tu robisz? – zapytała Gertruda.

– Czekam na ciebie – rzekł, nie wstając.

– Na mnie? – zdziwiła się.

– Tak, na ciebie – potwierdził. Wyciągnął małą, czarną i chudą rączkę z kopertą. – Pan oficer kazał ci to dać, jeżeli przyjdziesz.

Wzięła list. Przeczytała: „Wczoraj wieczorem otrzymałem rozkaz wyjazdu na front. Kursów więcej nie będzie. Musiałem dziś o świcie wyjechać. Dziękuję za piękne chwile, które pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Zachowaj mnie w swoim sercu. Bądź dzielną dziewczyną i dobrą uczennicą. Co będzie ze mną – nie wiem. Kto zna kres wędrówki żołnierza? Niechaj nasz biały domek na wzgórzu będzie symbolem naszych szczerych i bezinteresownych uczuć. Jeżeli przeżyję tę głupią wojnę, i gdy tylko się ona zakończy, odwiedzę pewnego dnia nasz domek. Może odnajdę tam ciebie. Adresu swojego jeszcze nie znam. Ściskam twoje kruche ciałko, będę o nim pamiętał w najgorszych chwilach życia".

Bez adresu, bez podpisu, bez kierunku, bez nadziei. Gertruda opuściła ręce i poczuła, jak coś w jej środku się oberwało, ni to serce, ni płuca, w każdym razie coś ciężkiego, i spadło w dół, jakby do żołądka. Stała nieruchoma, niezdolna cokolwiek powiedzieć, o czymkolwiek pomyśleć. Nie wierzyła przeczytanym słowom, nie wierzyła sobie, nikomu i niczemu. Nie chciała wierzyć, że stoi tam, trzymając fatalną kopertę z okropnymi słowami. Mniej byłaby zaskoczona, gdyby rozwarła się przed nią wielka, głęboka przepaść.

Usiadła przy chłopcu na kamiennych stopniach, opuściła głowę, zakryła twarz chudymi dłońmi, spoza których spadły duże, okrągłe łzy.

– Ty płaczesz? – zapytał zdziwiony chłopak.

– Już nie płaczę – przetarła oczy Gertruda.

– Nie trzeba płakać. Oficer powiedział, że wojna niedługo się skończy i pojedzie do domu. Tam czeka na niego żona.

– Tak powiedział: „Tam czeka na niego żona"?

– Słyszałem, jak mówił do żołnierza.

– Na pewno tak mówił?

– Aha.

Włożyła list do zeszytu, zerwała i pobiegła na dół, do szkoły. Tam dowiedziała się, że została skreślona z listy uczennic.

VII

Póki tego nie posiądziesz, Zgiń i znów się przemień.
Tylko smutnym gościem będziesz Na tej ciemnej ziemi.
J.W. Goethe

Matka siedziała przy maszynie do szycia. Gertruda przykucnęła, położyła głowę na matczyne kolana i głośno zaszlochała. Tak nigdy nie płakała. Nawet wtedy, kiedy czasem bił ją ojciec. Matka przestała szyć, ujęła głowę córki w spracowane dłonie i popatrzyła jej w oczy. Chociaż niczego nie rozumiała, czuła żal i łzy córki przyjęła z pewną ulgą i nadzieją.

Całą noc przeleżała. Pokorna, cicha, zamknięta w swojej skorupie rozmyślała nad tym, co zaszło w ostatnich tygodniach. Czuła się nikomu niepotrzebnym przedmiotem. Patrzyła na brudne tapety ścian i stawiała sobie kilkakrotnie pytanie: „Czyżby mnie oszukał?".

Nie miała pojęcia, czy szczęście naprawdę musi trwać tak krótko. Dwa, trzy dni. Sen? Zjawa? Złudzenie? Może fatamorgana. Ależ nie. Jeszcze teraz czuje jego obecność, jego pieszczoty. Była, chodziła, widziała, czuła, dotykała. To nie sen, lecz rzeczywistość, która odleciała tak nagle, tak brutalnie. Raptem została sama ze swoimi myślami, których nie może głośno wypowiedzieć bez obawy ostatecznej klęski.

Leżała i myślała. Wspominała wiele rzeczy. Na przykład tę tęgą, starą Ormiankę, która ją namawiała w parku, żeby poszła do niej, to ją uszczęśliwi nowym życiem, jakiego jeszcze nie zna. Będzie chodzić w ładnych sukien-

kach i nic nie będzie robiła. Będzie siedziała przy oknie i patrzyła na przechodniów. Czego chciała ta kobieta? Dlaczego niespodziewanie chciała być dla niej taka dobra? Albo ten niski, tłuściutki starszy pan z parku Musztaidi? Zaraz.... Co on powiedział na pożegnanie pewnego dnia o zmierzchu: „Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, to zawsze możesz na mnie liczyć". Coś w tym rodzaju. I wymienił jakąś kawiarnię na placu Erywańskim, gdzie można go spotkać. Tyle dobrych ludzi jest na świecie. I wojna ich nie zepsuła.

Kłębiące się myśli nie pozwalały jej zasnąć, a kiedy nad ranem zmęczona zapadła w krótki sen, krzyczała.

– Co ci córuchno? – pytała matka. Żadnej odpowiedzi.

Rano udawała, że idzie do szkoły. Pobiegła w stronę małego domku. Jeszcze nie wierzyła, jeszcze nosiła w sobie nadzieję, jeszcze myślała o cudzie. Wciąż próbowała przywołać do życia przeszłość, ale oprócz wartownika nikogo nie było widać. Koszary stały puste. Nie słychać orkiestry ani śpiewu junkrów. Duch wojny odleciał razem z jej szczęściem. Podbiegł mały chłopak, wczorajszy fatalny listonosz.

– Szukasz go? – zapytał.

– Myślałam, że może wrócił – odpowiedziała tak sobie.

– To twój brat?

– Więcej niż brat.

– Nie rozumiem.

– Jesteś jeszcze za mały.

– Już mam osiem lat. – I pobiegł do kolegów, którzy kopali starą, podartą piłkę.

* * *

– Muszę mamie powiedzieć straszną rzecz.

– Co znowu się narodziło?

– Jeszcze nic, ale może wkrótce.

Wyciągnęła list z zeszytu od „niego" i posunęła matce.

– I dobrze, że sobie pojechał – powiedziała matka.

– Łatwo mamie powiedzieć.

– Przejdzie ci, córeczko, zapomnisz.

– Jeszcze mama nie rozumie?

– Czego?

– No, tego, co było. Przecież ja mogę mieć dziecko. Tak przynajmniej powiedziała mi jedna koleżanka.

– Zwariowałaś chyba?

– Tak, mamusiu. Jeszcze gorzej – zupełnie oszalałam. Przecież ja do niego chodziłam. I nie po to, żeby patrzeć na panoramę miasta jak z Kolą. W szkole różne bzdury wykładają, ale żeby powiedzieć coś o życiu, to nie ma komu.

– Czy ty jedna chodzisz do szkoły? Tyle panienek uczy się i nie filozofuje.

– I są szczęśliwe?

– Jak sobie ułożą. W każdym razie nie przychodzą pewnego dnia do domu i nie mówią matkom, jakby zjadły czekoladkę: „Mamo, ja mogę mieć dziecko". Co mam z tobą teraz zrobić?

– Wszystko, co chcesz.

– Najłatwiej tak powiedzieć. Zabić? Wyrzucić? A szkoła?

– Nie liczy się.

– Co to ma znaczyć?

– Jestem skreślona.

– Co?! Powtórz!

– J-e-s-t-e-m s-k-r-e-ś-l-o-n-a. Czy mama rozumie?

– Odsuń się, córuchno, jeżeli zasługujesz na to miano. Mam słaby charakter i dobre serce, ale teraz za siebie nie ręczę. Co za hańba! I jeszcze dwie naraz! Ja tu przy balii, żeby toto niegłodne i ubrane, a ona ładnie podziękowała. Niech tylko o tym wszystkim dowie się ojciec. Z nim nie ma żartów.

* * *

Tego wieczoru nastąpiła cicha zmowa dwóch kobiet – matki i córki – obie bały się skandalu. Przed ojcem zapadła tajemnicza kurtyna. Rankiem Gertruda wyszła do miasta, prowadzona magicznymi słowami: „Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, to zawsze możesz na mnie liczyć". Zajrzała do kawiarni i rzeczywiście dostrzegła niskiego, tłustego starszego pana, z którym niegdyś zamieniła w parku kilka słów. Ucieszył się i natychmiast zaangażował Gertrudę do pomocy w kawiarni i w domu. Był wdowcem. Miał gospodynię, kobietę starą i niedołężną. Wkrótce planował

ją zwolnić. A zresztą mogą być obie. Stara przygotuje obiad, bo wie, co on lubi. „Taka mizerna – pomyślał, patrząc i szacując Gertrudę. – Trzeba będzie ją odżywić".

I tak zaczęła chodzić do pracy. Matka powoli przygotowywała ojca do zmian, jakie zaszły w ich życiu, ale bała się prawdy. Obie oszukiwały człowieka, dla którego całe życie koncentrowało się w klubie. Tam wino, karty, bilard. Tam polityka, plotki i kawały. Tam trzeźwi i pijani. Bohaterowie i dezerterzy. Kombinatorzy oraz ich ofiary. Tacy, co wojnę przeklinają i tacy, co ją błogosławią. Agitatorzy i szpicle. Agnieszwili po trosze znał ich wszystkich. Nie musiał chodzić do teatru: miał go na co dzień.

VIII

I wypuścił wąż z gęby swojej za niewiastą wodę jako rzekę, chcąc sprawić, aby ją rzeka porwała.
(Objawienie św. Jana, rozdz. XII, w. 15)

Kończył się październik. Tego dnia nad miastem sunęły niskie chmury, które zakrywały dalekie grzbiety górskie. Porywiste wiatry podchwytywały jesienne liście, gnały je chodnikami i układały przy różnych ogrodzeniach lub skrzynkach na śmiecie. Próbowało padać. Nawet w tak pięknym kraju dzień był smutny i nieżyczliwy dla ludzi, którzy się kulili i biegli do domów po załatwieniu spraw.

Matka Gertrudy nadal prała bieliznę i wierzyła w bliski koniec wojny. Wtedy córka pójdzie znowu do szkoły i wszystko jakoś się ułoży. Ojciec został powoli uświadomiony co do losów córki. Groził tym i owym. „Niech tylko ona mi w przyszłym roku... – mruczał pod nosem. – Niech ona mi tylko..." i szedł spać. W klubie szeptano o zbliżającym się buncie żołnierzy, o możliwości rewolucji, o narzekaniu na cara, a szczególnie na Rasputina. Wielu Gruzinom śniła się wolność i niepodległość.

Z powodu paskudnej wietrznej pogody goście kawiarni siedzieli do późna. Gertruda tkwiła za przepierzeniem i patrzyła przez małe okienko na znudzonych mężczyzn przy winie i nargilach. Powinna już dawno być w domu. Nie mogła wyjść – gospodarz nie wracał z domu lub miasta. Wreszcie, kiedy się ukazał, było tak późno, że zaproponował:

– Chyba dziś nie warto, abyś szła do domu. Mieszkanie u mnie duże. Prześpisz się w oddzielnym pokoju.

Zgodziła się. Została. W nocy miała kiepski sen: coś czaiło się za drzwiami, ni to człowiek, ni to zwierzę. Wyciągało ku niej kosmate łapy i chciało pochwycić niby kleszczami. Obudziła się spocona ze strachu, spojrzała w ciemność pokoju. Dokoła panowała cisza. Odwróciła się do ściany i naciągnęła kołdrę na głowę. Czuła się bezpieczną, jednak sen nie nadchodził. Wzrok skierowała na ciemną ścianę. Przed oczyma najpierw przesunął się Kola, potem mały domek na wzgórzu i Wilczyński. Dwa życia: jedno niewinne, sztubackie, którego zbytnio nie żałowała, i drugie z początku słodkie, a raptem gorzkie jak piołun. W tak krótkim czasie tyle zmian i tyle doświadczeń życiowych, które przyszły same, nieraz mimo woli. Leżąc i rozmyślając przypominała sobie czterowiersz Goethego:

Sądzono naszej głowie
Od mężczyzn krzywdy znosić:
Czyń wszystko, co ci powie,
I jeszcze mu nie dosyć.

Zmęczona rozmyślaniem zapadła w lekki sen. Obudził ją zgrzyt naciśniętej klamki od drzwi do jej pokoju. Odwróciła głowę. Z sąsiedniego pokoju wpadło pasmo światła. Przed nią stał maleńki, tłuściutki człowieczek o świdrowatych oczkach.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy dobrze śpisz – rzekł chlebodawca. – Ja nie mogę zasnąć.

Podszedł do jej łóżka i usiadł na samym brzeżku. Gertruda skuliła się pod kołdrą niczym ślimak w muszli. Patrzyła na jego księżycową twarz i lekki uśmieszek na zaciśniętych wąskich wargach.

– Bardzo cię lubię – wyznał nagle. Ujął jej policzki tłustymi, spoconymi dłońmi i pocałował w czoło po ojcowsku. Gertrudzie przypomniał się niedawny sen. Ręce pracodawcy wydawały się kosmatymi łapami potwora z sennych majaczeń. Poczuła strach i jednocześnie wstręt. Uczucie, jakiego jeszcze w życiu nigdy nie doznała. Pod jej serce zaczęło podchodzić uczucie obrzydzenia, czego chlebodawca zapewne się nie spodziewał. Ujął ją za ramiona i chciał przytulić.

– Niech pan idzie do siebie – powiedziała.

– Śmieszna jesteś. – Uśmiechnął się nieznacznie i objął ją mocnej. Jego ręce zaciskały się wokół drobnego ciała Gertrudy niczym kleszcze.

– Proszę mnie puścić, bo inaczej...

– Co inaczej?

– Będę krzyczała.

– Toś ty taka? Tak mi dziękujesz za pomoc?

– Za pomoc pracuję.

– Twoja praca mi wcale nie potrzebna.

– To po co pan mnie zatrudnił?

– Myślałem; że będziesz dla mnie dobra, że mnie zrozumiesz, nie jesteś już dzieckiem... Masz tyle lat...

– Pan ma co najmniej trzy razy więcej i mógłby być...

– Ojcem – dokończył.

– Tak – odpowiedziała.

– Ale czuję się młodym i zdrowym i potrzebuję takich jak ty.

– Niech pan sobie poszuka gdzie indziej.

– Właśnie chcę ciebie.

– Mało, że pan chce.

– Nie bądź głupią, lepiej pocałuj mnie na zgodę. – Trzymał ją silnie za ramiona. Ściągnął ze złości brwi, przymrużył oczka i ciężko oddychał.

– Nie potrzebuję żadnej zgody – nieomal krzyknęła Gertruda i sama zdziwiła się swoją gwałtownością.

Jej słowa rozniosły echem po dużym pustym mieszkaniu. On jednak nie dawał za wygraną. Zaczął ściągać z niej pościel. Stanęła na łóżku i oparła się o ścianę. Wyciągnął ręce, aby pochwycić ją za nogi.

– Zostaw pan tę zabawę – powiedziała. – Zaczynam być zła jak nigdy w życiu. Wprost się nie poznaję.

Stała skręcona przy ścianie, z wytężonym wzrokiem, jak kocica gotowa do obrony swych dzieci.

– Chodź, bo inaczej nie pójdę. I tak cię dostanę. Ściana się nie zawali.

Stanął na brzegu łóżka i chciał ją objąć. Gertruda uniosła prawą nogę i z nieoczekiwaną siłą wątłego ciała kopnęła go w brzuch tak potężnie, że okrąglutki i tłuściutki pan zleciał z łóżka i padając uderzył głową o stojącą niedaleko szafkę.

Leżał nieruchomo. Gertruda przeraziła się. „Zabiłam". Zeskoczyła z łóżka, narzuciła na koszulę płaszczyk i wybiegła na ulicę. Nie panowała nad sobą. Wiedziała tylko, że stało się coś strasznego. Coś, od czego pragnie uciec.

Gertruda chucherko, prawie zasuszony szkielecik, jak przedwcześnie zwiędły kwiatek. Gertruda, jak chwiejące się drzewko przy byle podmuchu wiatru, biegła nieprzytomna Prospektem Gołowińskim w stronę zajazdu Weryjskiego, w stronę mostu. Można by powiedzieć, że biegł cień człowieka, wyłącznie jego astralna powłoka, opanowana niebezpiecznym porywem. Kosmyki włosów opadały na ramiona. Wiatr je unosił i wdzierał się pod lekki płaszczyk. Ale Gertruda czuła w sobie niewysłowiony żar, który chciał ją unicestwić. Innego wyjścia nie widziała. Spod jej nóg uciekały ostatnie jesienne liście.

* * *

Był moment, kiedy powracała jej świadomość i chciała skręcić na lewo, w swoją wąską i krętą uliczkę, wpaść do domu i zawołać: „Zabiłam człowieka, ale nie jestem winna". Opowiedzieć o wszystkim rodzicom, wypłakać się, a wtedy niech robią z nią, co chcą. Zabrakło jej sił. Strach i szalona decyzja pchała ją naprzód. Wbiegła na most, chwyciła się zimnej od wiatru balustrady. Ten chłód poprzez ręce próbował dostać się do wewnątrz, do głowy, do mózgu. Serduszko Gertrudy stukało z wielką szybkością. Czuła, że chce wyskoczyć z ciała. Nasłuchiwała.

Na most wjeżdżała dorożka z postawioną budą. „Może to on?", zadała sobie pytanie, przechyliła się przez poręcz mostu i rzuciła w dół. Nie utonęła, zabiła się, trafiając głową w podwodny kawałek skały.

Na moście zawirowały pożółkłe liście i spadły do rzeki.

* * *

O śmierci Gertrudy poinformowały wzmianki w prasie. Na pogrzeb przyszła jej zeszłoroczna klasa. Tego dnia nad cmentarzem otworzyła się błękitna kopuła nieba i słońce ogrzało świeżo wykopany dół. Tak jakby chciało ogrzać zimne ciało, które zakończyło swe życie. Na stoku góry Dawida zebrałem pęk dzikich kwiatków, które lubiła, i złożyłem na jej malutkim grobie.

Odeszła do Hadesu szarpana wiatrami jesieni. Niech rzeka Kura będzie dla niej Letą, rzeką zapomnienia doznanych krzywd i chwilowych radości.

Dla mnie zostanie na zawsze Acheronem – rzeką smutku – i Kokytosem – rzeką lamentu.

* * *

Dziesięć milionów żołnierzy oddało swoje życie za pokój dla przyszłych pokoleń. I nie tylko za pokój – za chleb również. Dziesięć milionów żołnierskich grobów powiększyło się o jedną maleńką mogiłę Gertrudy.

* * *

Cień Gertrudy chodził za mną przez długie lata. Dopominał się wyjścia na światło dzienne. Musiałem opowiedzieć o tej dziewczynie starszemu panu z moich okolic. Był nim Wilczyński, który cudem wyszedł żywy z rąk Kurdów podczas pieszej wędrówki z frontu kaukaskiego. Dystynkcje oficerskie zdjęli mu zbuntowani żołnierze. Oni również wyrzucili go z wagonu. Nie był dobry w stosunku do podwładnych. Po wypiciu szklanki bimbru opowiedział mi o Gertrudzie. Szczerze żałował minionych dni. Przypomniałem sobie wtedy wiersz Goethego:

Duszo człowieka,
Tak wodzie podobna.
Losie człowieka,
Co jesteś jak wiatr.

Warszawa, maj 1969 r.

Kanarek

Pewnego poranka w jednym z miast słonecznej Gruzji zdarzył się najzwyklejszy wypadek. Kanarek, który przebywał zawsze w otwartej klatce, zażywał swobody w dużym pokoju przy otwartych oknach i nie pragnął nigdy wyfrunąć w szeroki świat, raptem wyleciał do ogrodu, usiadł na moment na drzewie i ślad po nim zaginął.

Żadne wołanie po imieniu nie pomogło. Z całej rodziny najbardziej rozpaczała babcia, bowiem ów kanarek był nieodłącznym towarzyszem jej starych lat. Klatka stała w pokoju staruszki, która ledwo poruszała się na swoich spuchniętych nogach, ale świetnie porozumiewała się z ptaszkiem. Na każde zawołanie przylatywał do niej, aby towarzyszyć przy posiłkach, odzywał się na jej zawołanie i śpiewał na życzenie. Jednym słowem stanowił nieodłączną część zamkniętego życia babci. Reszta rodziny była równie zmartwiona, gdyż nikt nie miał chęci zastępować kanarka.

Kiedy kanarek zażywał majowych promieni słonecznych i przelatywał z krzewu na krzew, z drzewa na drzewo, oddalając się coraz bardziej od własnego domu, w którym został wychowany i wypieszczony niczym najmłodsze dziecię, wieść o zaginięciu ptaszka rozeszła się po całym mieście. W ogłoszeniach obiecywano dużą nagrodę za dostarczenie go żywego i zdrowego. Nie wyobrażano sobie życia babci bez kanarka w otoczeniu wnuków i wnuczek, niezagrzewających długo miejsca w domu.

Nadchodził wieczór. Słońce chowało się za pobliskimi grzbietami otaczających miasto gór. O kanarku nie nadchodziły żadne pocieszające wiadomości. Przechodnie i spacerowicze przestali unosić głowy ku wierzchołkom drzew uważając, że odleciał za miasto lub padł ofiarą kota albo innego wroga swojej urody.

Życie w mieście powoli zamierało, gdy kinto[3] wracał do domu po wypiciu kilku szklanek wina u swojego szwagra. Słabe oświetlenie uzupełniały gwiazdy świecące jaskrawo z ciemnogranatowego nieba. Noc była ciepła, cicha i pachnąca wiosenną świeżością. Z oddali dobiegały zgrzyty ostatnich wozów tramwajowych zdążających do zajezdni. Miasto przygotowywało się do nocnego odpoczynku. Tylko co rozpoczęta wielka wojna na różnych frontach była daleko i mało kto zdawał sobie sprawę z jej skutków. Zresztą do wojen ludzie byli przyzwyczajeni. Jedna więcej, jedna mniej. Świat wróci do normy, mężowie stanu złożą sobie kurtuazyjne wizyty, aby wyciągnąć jak największe zyski dla swojego państwa.

Kinto wstąpił akurat na most przez dość szeroką w tym czasie mętną rzekę, gdy poczuł natychmiastową potrzebę naturalną. Doszedł prawie do połowy, przystanął i nasłuchiwał. Dookoła panowała cisza. Miasto zapadało w nocny zdrowy sen. Do własnego domu miał daleko, a cudze bramy do podwórek były już dawno pozamykane. Znalazł się w przykrej sytuacji i musiał natychmiast podjąć decyzję.

Postał na środku mostu, wybrał najciemniejsze miejsce i bez długiego zastanawiania się przykucnął. Ledwo tylko oddał w zachwycie dług naturze i zaczął porządkować ubranie, do jego uszu doleciał wyraźny odgłos kroków. W świetle latarni rozpoznał wielką figurę przedstawiciela władzy carskiej.

Pomyślał o ucieczce, ale zaraz zreflektował się, że w takim wypadku może być ścigany jako podejrzany. Stał więc nad swoim świeżym arcydziełem, a postać przedstawiciela władzy w miarę zbliżania się bezustannie rosła w jego szeroko otwartych oczach.

„Kanarek" – błysnęła raptem myśl pod czaszką kinto. Zdjął szybko czapkę, przykucnął, przykrył kupę i delikatnie trzymał za brzegi czapki. Policjant uroczyście zbliżał się ku niemu, zdziwiony sytuacji, jaką zastał.

– Widzę nienormalną rzecz – rzekł przedstawiciel władzy. – Czybyście przypadkiem nie byli przy zdrowych zmysłach?

– Jak najbardziej jestem zdrów i przytomny – odrzekł kinto. – Widocznie nic nie słyszeliście o zaginięciu kanarka.

– Jakbym ja, stróż porządku, mógł nie słyszeć o czymś, skoro wie o tym całe miasto? Dużo bym dał, żeby złapać zaginionego kanarka. Obiecują przecież niezłą nagrodę.

[3] Uliczny sprzedawca, charakterystyczna postać gruzińskich miast jeszcze w latach 30. XX w.

– Będziemy ją mieli – rzekł kinto. – Trzymam właśnie kanarka pod czapką.

– To daj mi go.

– Nie tak łatwo go uchwycić. Co tylko próbuję sięgnąć ręką, to zaraz obawiam się, że wyfrunie.

– To co niby zrobić? – zastanawiał się policjant.

– Jest na to rada – odpowiedział kinto. – Trzeba tylko skoczyć do domu po klatkę i wtedy murowana nagroda. Mieszkam blisko. Tylko musiałby ktoś trzymać mocno brzegi czapki przy jezdni, żeby kanarek się nie wyślizgnął.

– To leć po klatkę, a ja potrzymam – ucieszył się policjant.

Kucnął przy czapce i z całym namaszczeniem przystąpił do wykonania powierzonego zadania.

Zachwycony kinto szybko się oddalił, ofiarując czapkę za swój karygodny czyn. Policjant jako zdyscyplinowany i lojalny obrońca carskich włości cierpliwie trzymał czapkę, aż mu ścierpły nogi w kolanach. Dookoła panowała cisza. Kinto nie tylko nie przychodził z klatką, lecz zaszyty pod pierzyną w swoim łóżku napawał się kawałem, jaki wyciął policjantowi.

Tymczasem przedstawiciel władzy wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość i pomyślał sobie: „Po co właściwie mam dzielić się nagrodą z jakimś tam Gruzinem. Dłoń mam jak łopatę i jeżeli ostrożnie wsunę rękę pod czapkę, to na pewno kanarek nie uleci. Co za radość będzie w zrozpaczonej rodzinie i jaki wielki zaszczyt dla mnie, że o tej porze złapałem ptaszynę. Całe miasto będzie mówiło więcej o mnie niż o kanarku".

I nie tracąc czasu, ostrożnie wsunął rękę pod czapkę. „Mam cię" – ucieszył się, ściskając jeszcze prawie ciepłą kupę kinto. Uniósł czapkę i siarczyście splunął.

– Swołocz – rzekł głośno, wytarł rękę o czapkę i rzucił ją do rzeki.

Podróż donikąd

Budynek stacyjny na tym podwarszawskim przystanku różnił się od pudełka zapałek tylko wielkością. Zbudowany niegdyś z grubych desek i otynkowany, zapomniany został przez Pana Boga i władze kolejowe – ściany z obu stron od wieków nie widziały malarza.

Za przepierzeniem w kącie tej prostokątnej klatki mieściło się tajemnicze sanktuarium kasjerki, zwykle młodej kobiety, dziewczyny właściwie, będącej jedyną i główną władzą kolejową na tej stacyjce. Piętnaście minut przed odejściem osobowego pociągu w tę lub inną stronę odsuwała się mała firaneczka za małym zakratowanym okienkiem, nad którym wisiał stary, zabrudzony napis: *Kasa Biletowa*.

Po odejściu pociągu zakurzona firaneczka przesuwała się na swoje miejsce i pani kasjerka miała kilkanaście minut na czytanie książki lub marzenie o awansie do następnej stacyjki oddalonej o dwa kilometry, gdzie był etat z czerwoną czapką i lizakiem.

Umeblowanie poczekalni składało się z długiej ławki pod jedynym tu szerokim oknem. W porze letniej pasażerowie wchodzili niechętnie, aby kupić bilet i szybko ewakuowali się na peron. W mroźne zimowe poranki stali stłoczeni i tupali nogami o podłogę, która od dziesięcioleci nie widziała miotły. Wprawdzie był w poczekalni piec kaflowy, ale spełniał wyłącznie funkcję dekoracyjną. Gdy tylko nadjeżdżał tradycyjnie opóźniony pociąg, pasażerowie wybiegali i wciskali się do przedziałów, aby stać prosto lub krzywo i czuć ciepło ludzkich ciał.

Latem w poczekalni przesiadywała często kobieta lat około czterdziestu o śniadej twarzy. Gładko przyczesane ciemne włosy spadały jej na kark, na ramionach zwisała kolorowa chustka. Siedziała prosto, nieruchomo ze wzro-

kiem skierowanym przed siebie. Rzadko milczała. Mówiła dość głośno, nie zmieniając przy tym położenia ciała. Szkliste oczy uparcie wbijały się w przeciwległą ścianę.

Ta kobieta należała do rzeczy martwych poczekalni. Była jej integralną, nieodłączną częścią, podobnie jak ławka, piec, okno i leżące w rogu śmiecie. Tak przynajmniej uważali mieszkańcy osiedla położonego po obu stronach toru kolejowego. Tak ją traktowała kasjerka, przechodząca obok niej kilka razy dziennie. Po prostu jej nie dostrzegała.

Jeżeli ktoś obcy zapytałby o tę kobietę, otrzyma odpowiedź: „Taka sobie głupia Helenka". Nikomu nie szkodziła, nosiła wodę i żyła kątem. Jej opowieści były nieraz na pograniczu rzeczywistości, innym razem pełne niesamowitych i nierealnych przygód. Spokojny, monotonny głos nikomu nie przeszkadzał i nikogo nie interesował. A warto czasem posłuchać.

– Nigdy cię tak nie kochałam, jak dziś, kiedy jesteś daleko ode mnie. Stale o tobie myślę i stale do ciebie mówię. Nie szkodzi, że jesteś daleko. Na pewno dobrze mnie słyszysz. Ale przecież nie jesteś znowu tak daleko, żebym do ciebie nie dojechała. Zawsze witasz mnie z radością. Tak jak to było w zeszłym roku. Pamiętasz? Wziąłeś mnie wtedy w swoje silne ramiona i powiedziałeś, że będziemy już na zawsze razem. Odjechałam, bo muszę tkwić tutaj, na tej ławce. Tutaj mi najlepiej. Stale cię widzę i z tobą rozmawiam. Patrz, jaka jestem szczęśliwa, nawet czasami się uśmiecham. Tak jak teraz, widzisz? A wiesz, dlaczego? Bo zaraz do ciebie pojadę. Znowu weźmiesz mnie w ramiona. Czekam, kiedy otworzą kasę. Kupię bilet do, do... Do jakiej stacji? Znowu zapomniałam. Gdzie mam jechać?

Siedziała wpatrzona w przeciwległą ścianę z nieruchomym wzrokiem i mówiła jednostajnym głosem. Ludzie wchodzili i wychodzili. Pewnie wcale ich nie widziała: była w swoim własnym świecie.

– Wiesz co? Tym razem nie czekaj na mnie na stacji. Trafię sama. Wiem dobrze, gdzie mieszkasz. Twój domek tonie w kwiatach, jak kiedyś nasz. Pamiętasz? Siedzieliśmy wieczorem przy otwartym oknie, przez które wpadał zapach maciejki. Siedzieliśmy przytuleni do siebie i zapominaliśmy o złych ludziach, którzy zabijają innych ludzi. Wtedy właśnie weszli ci źli ludzie i zabrali cię ode mnie, zabrali tak nagle, tak brutalnie, jakbyś był ich własnością, jakąś zwykłą rzeczą. Jeszcze dziś słyszę ten strzał w nocnej ciszy. Więcej nie

pamiętam. Ktoś mnie pocieszał, że uciekłeś, żyjesz i jesteś niedaleko mnie. I uwierzyłam ludziom, i jest mi teraz dobrze jak nigdy. Nie mam żadnych trosk, żadnych obaw, nikt mnie nie prześladuje, nikt mi nie dokucza. Mogę cały czas poświęcić na rozmowę z tobą. Chociaż mnie nie widzisz, lecz na pewno słyszysz. Ludzie są śmieszni: wyglądają jak cienie, które snują się bez sensu. Moje myśli lecą ku tobie po szynach, po drutach. Dziś już chyba nie pojadę. Jest późno i trzeba gospodyni przynieść trochę wody.

Na podwórku czekały na nią dwa puste kubły. Wzięła je i przeszła na drugą stronę ulicy do studni. Napełniła wiadra czystą zimną wodą i wróciła na stare miejsce. Kucnęła na betonowej płycie przy drzwiach, opuściła głowę na kolana i bezmyślnie drzemała. Słońce usiadło na końcu prostej długiej ulicy i powoli zaryło się w piasek. Potem na horyzoncie wystrzeliły ku niebu czerwone promienie i koniec ulicy schował się w wieczornym zmierzchu. Zjawiła się gospodyni. Helenka siedziała przy oknie wpatrzona w nadchodzącą ciemność. Łapczywie zjadła zupę i poszła spać. Nie miewała nigdy snów, widocznie wystarczały jej sny na jawie. Rano wyszorowała podłogi, wypiła kawę i szła znowu na swoją ławkę w poczekalni, by snuć dalej swoje podróże w nieznane.

– Nie gniewaj się na mnie, że znowu nie dojechałam. Wszystko przez tę walizeczkę. Zobaczyłam cię na peronie i wyskoczyłam z wagonu. Pociąg odjechał z walizeczką. Biegałam jak szalona i krzyczałam: „moja walizeczka, zatrzymajcie pociąg, moja walizeczka!". Raptem zobaczyłam walizeczkę tuż przy mnie na ławce. Nic nie rozumiem. Zaraz pojadę drugim pociągiem. Czekaj na mnie. Słońce nigdy nie zachodzi, jego promienie zawsze rozweselają moją duszę i myśli, które bezustannie biegną ku tobie. I znowu nie ma walizeczki na ławce. I znowu pociąg odszedł, a ja wciąż siedzę. Nie szkodzi: pociąg nie jest potrzebny, dojdę na piechotę. Czekaj na mnie. Już lecę.

Helenka zerwała się z ławki i szybko opuściła poczekalnię. Udała się do domu swoich dobroczyńców, zjadła obiad, pozmywała naczynia i zaraz wróciła na poczekalnię. Nie miała poczucia czasu, który dla niej zatrzymał się na zawsze. Właściwie otaczający ją świat dla niej nie istniał, chociaż wszystko widziała i słyszała. Do jej świadomości nic nie trafiało. Nie czuła pokusy zła lub dobra. Nie potrzebowała ani Boga, ani diabła. Była zawieszona między ziemią a niebem. Była człowiekiem i jednocześnie nim nie była. Była stwo-

rzeniem z innego świata, ale mieszkała wśród ludzi. Snuła swoje sny na jawie, siedząc na ławce.

– Wciąż wybieram się do ciebie i nadal tkwię w jednym miejscu. Tak przynajmniej mówią ludzie. Nie wierz im. Przecież niedawno byłam u ciebie. Szłam przez piękne łąki. Dookoła wysokie trawy i pełno kolorowych kwiatów. Zrywam je na piękny wianek dla ciebie. Pamiętasz na pewno naszą ostatnią wycieczkę, z której wróciliśmy ze wspaniałym bukietem kwiatów. Leżeliśmy w wysokich trawach, pełnych polnych koników. Tuliłeś mnie do siebie i mówiłeś, że świat jest piękny i nigdy się nie rozstaniemy. Miałeś rację. Jestem zawsze i wszędzie z tobą. Zaraz, tylko przejdę rzekę. Ale dlaczego niedobrzy ludzie zniszczyli wszystkie mosty? Chodzę tam i z powrotem i nie wiem, jak przejść. Czasami szerokie i głębokie wody rozstępują się na moment i widzę dno, po którym mogłabym szybko przebiec. Wiem jednak, że to pułapka. Woda chce mnie pochłonąć, żebym cię więcej nie ujrzała. Nie rozumiem, dlaczego teraz rzeki są takie szerokie, a drzewa takie maleńkie. Woda płynie jakoś odwrotnie. Wszystko takie śmieszne. Nazrywałam dużo kwiatów, ale są większe ode mnie, kolczaste, bez zapachu. Wybacz, kochany, że muszę uciekać. Woda zalewa łąki i może mnie pochłonąć.

Pod sufitem poczekalni zapaliła się żaróweczka osłonięta zakurzonym kloszem. Nieruchome oczy Helenki poruszyły się, przed nią stała jej chlebodawczyni.

– Chodź, Helenko, do domu. Przecież już ciemno. Trzeba nanosić wody do prania.

Wstała i poszła za gospodynią.

Pewnego dnia w południe pasażerowie zobaczyli Helenkę siedzącą na ławce peronu.

– O, Helenka znowu wybiera się w podróż – szeptały sąsiadki. – Konduktor będzie miał kłopot.

Nadszedł pociąg. Helenka weszła do przedziału i zajęła wolne miejsce. Niektórzy pasażerowie przeszli do innego przedziału, bo nie wytrzymywali jej szklanego wzroku. Przejechali dwa przystanki. Nadszedł konduktor.

– Znowu pani jedzie do męża – powiedział. – Pociąg dalej nie idzie. Niech pani wysiada. To już pani stacja.

Wysiedli razem. Przekazał ją dyżurnemu ruchu i prosił, aby wsadził do pociągu powrotnego.

– Ona sama wysiądzie. Swój przystanek zna – dodał. – Czasami próbuje jechać do męża, którego rozwalili Niemcy, ale ona nie wierzy. Od tamtego czasu jej trochę tego, wie pan? – Pokazał palcem na czoło.

Godzinę później Helenka siedziała w poczekalni na swojej starej ławce.

– Wybacz, najdroższy, że znowu nie dojechałam. Wyobraź sobie, że byłam już w twoim mieście, tylko znowu zapomniałam ulicę. Tramwaj zawiózł mnie w całkiem inne, nieznane mi miejsce. Jakieś wysokie mury, wysokie ściany, wszystko tak dziwaczne, że aż strach mnie ogarnął. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Potem ukazały się wielkie światła. Szłam naprzód, a światła się oddalały. Przede mną nagle wyrastały domy, ale nie takie, w jakich ty mieszkasz. Zorientowałam się, że przyjechałam do jakiegoś innego zupełnie miasta, miasta urojonego. Ze strachu wróciłem i oto znowu siedzę na ławce i tak sobie marzę o tym, jak jutro pojadę do ciebie...

W tym czasie nad budyneczkiem stacyjnym przewalały się czarne chmury. Błysnęło, zagrzmiało. Spadły rzadkie duże krople, które wybijały dołki w suchym głębokim piasku. Parę osób schowało się do poczekalni. Kasjerka zapaliła światło w swoim służbowym pokoju i czytała powieść o wielkiej miłości dwojga ludzi, którzy wreszcie pokłócili się o drobne rzeczy. Kasjerka potępiała brutalnego bohatera powieści i nawet chciała zapłakać, ale akurat ktoś zapukał do kasowego okienka. Deszcz nie ustawał. Po zakurzonych szybach stacyjki spływały brudne smugi deszczowej wody. Ludzie nakrywali głowy czym się dało, i biegli do domów, przeskakując kałuże. Tymczasem Helenka dalej snuła swoją opowieść.

– Już wiesz chyba, dlaczego ostatnio nie dojechałam do ciebie. Zawsze trafiam w jakiś nowy świat. Bywam w krajach, o których nigdy nie marzyłam. Starożytne miasta pełne ruin, skał o niesamowitych kształtach. Miasta bez ludzi. Raz szłam wysokimi schodami w okrągłej baszcie. Wreszcie natrafiłam na okrągły otwór. Byłam już u kresu sił, kiedy otworzyły się przede mną złote wrota i znalazłam się w wielkiej kolumnowej sali pełnej obrazów. Z nich uśmiechały się do mnie okropne maski. Chciałam krzyczeć, ale nie mogłam wydobyć głosu. Pragnęłam opuścić salę, ale przez okrągły otwór poleciałam do góry i znalazłam się na płaskim dachu. Wokół panowała pustka

i cisza. Żadnych śladów życia. Nawet cię nie widziałam. Muszę wracać tym okrągłym otworem i wcale się nie boję, że spadnę, bo przecież polecę prosto w twoje ramiona. Uważaj, trzymaj mnie...

Chmury schowały się za horyzontem. Ostatnie promienie słońca odbiły się w szybach domów na pagórkach. Wróble żegnały dzień ćwierkaniem w krzewach otaczających stacyjkę. Ludzie śpieszyli z pracy do domów. Powietrze pachniało młodym sosnowym zagajnikiem. Helenka nadal przesiadywała na ławeczce w poczekalni i snuła marzenia o podróżach do męża, który od dawna leżał w piaszczystym dole z innymi ofiarami faszyzmu.

Kura

Cztery samochody ciężarowe załadowane saperami z niezbędnym sprzętem do rozminowania sunęły po gładkiej szosie asfaltowej wśród sosnowych lasów pachnących wiosną. Leśną ciszę i śpiew ptaków zagłuszały motory samochodowe. W szoferce pierwszego samochodu jechał zastępca dowódcy baonu do spraw politycznych kapitan Łętkowski. Innymi samochodami jechali dowódcy plutonów z dowódcą kompanii porucznikiem Koparskim.

Chociaż rozminowanie terenów tuż po wojnie pachniało frontem, saperzy traktowali tę niebezpieczną robotę jako ciekawą przygodę, która miała wiele zalet w stosunku do nudnego i szarego życia w garnizonie.

Przede wszystkim w czasie rozminowania podobała się im frontowa koleżeńska dyscyplina; praca trwała krócej niż normalnie w koszarach i była pozbawiona nudnej musztry; kocioł był wzmocniony, a do tego prawie każdego dnia trafiały do zupy dwa – trzy zające, które podchodziły pod kule karabinowe, można powiedzieć, na ochotnika. Celował w tym szczególnie porucznik Koparski, były partyzant. Stojąc w samochodzie trafiał szaraka z dużej odległości. Umiejętność tę posiadł już w dzieciństwie, kiedy to najpierw z procy a potem z floweru zdejmował wróble z każdej gałązki.

Zapadał siny zmierzch, kiedy samochody wjechały do mało zniszczonego miasteczka powiatowego. Saperzy zostali pośpiesznie rozlokowani drużynami po prywatnych kwaterach. Kucharze krzątali się przy polowej kuchni. Po kolacji w miasteczku zapadła prowincjonalna niczym nie zmącona cisza. Nazajutrz raniutko dowódcy plutonów wyjechali na zwiady i wrócili bez wielkich rezultatów: zebrali trochę pocisków artyleryjskich i min moździerzowych. Pól minowych nie stwierdzili. Wywieźli pociski na polanę i wysadzali. Przy tej okazji natknęli się na nowiutkie bomby zapalające. Leżały w trawie i w skrzyniach niby rekiny. Musieli

Niemcy pośpiesznie uciekać i nie zdążyli ich użyć w czasie walk. Z powodu tych bomb kompania zatrzymała się do następnego dnia, by je zniszczyć.

Trzeciego dnia konkretnej roboty nie było widać i pobudka odbyła się nieco później niż zwykle. Dowódcy siedzieli nad mapami planując dalszy skok. Saperzy łazili po ulicach i węszyli za kieckami dziewcząt. Niektórzy ordynansi kombinowali coś dobrego dla swoich dowódców. Najsprytniejszym był chyba ordynans kapitana Łętkowskiego. Dbał, aby jego pan i władca zawsze miał coś na ząb po jednym głębszym.

Kompania szykowała się do dalszej podróży.

Późnym wieczorem dowódca kompanii zapukał do drzwi kapitana Łętkowskiego. Który już leżał w łóżku i przy słabym świetle elektrycznym studiował zagadnienia wychowania politycznego i obywatelskiego. Dowódca kompanii usiadł na skrzypiącym krześle z zafrasowaną miną i patrzył w brudne szyby wielkiego okna. Łętkowski przeczuwał, że jego podwładny nie przyszedł o tej porze, żeby tylko popatrzeć na niego. Ściągnął wzrok podwładnego na siebie i zapytał:

– Co się stało?
– Drobna, ale paskudna sprawa.
– Dziewczyna?
– Gorzej.
– Awantura?
– Nie zupełnie.
– To co u licha?
– Kura.
– Przejechali?
– Skradli.
– Komu?
– Jakiejś wdowie.
– Kto?
– Żebym wiedział. Podobno ktoś z saperów.
– Kto widział?
– Właścicielka kury. Przynajmniej tak twierdzi.
– Kiedy?
– Dziś rano.

Zastępca polityczny zamyślił się. Przed jego oczyma przesunęły się morale żołnierzy, które rzutują i na jego personalną teczkę. Postanowił działać natychmiast po pobudce i z całą energią. Dowódcy kompanii wydał rozkaz:

– Wyjazd kompanii jutro wstrzymać aż do wyjaśnienia tej sprawy. Zrobić zbiórkę saperów i przysłać do mnie poszkodowaną. Jasne.

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

Rano dało się słyszeć nieśmiałe pukanie do drzwi. Kapitan otworzył drzwi. Przed nim stała zażenowana kobieta średniego wzrostu i średniego wieku. Ubrana skromnie ale czysto. Z okrągłej twarzy patrzyły piwne oczy. Ciemnoblond włosy starannie przyczesane. Robiła wrażenie Polki, która przyjechała za odzyskane ziemie polskie. Kapitan przeszył ją wzrokiem swoich maleńkich świdrujących oczu.

– Macie podobno jakieś pretensje do naszych saperów?

Zbyt służbowy zwrot nieco speszył kobietę. Opuściła oczy i rzekła:

– Skradziono mi kurę w biały dzień.

– Ale nie nasi żołnierze?

– Właśnie przykro mi, że polski żołnierz.

– Jakie dowody obywatelka może przedstawić?

– Sama widziałam.

– I rozpoznacie tego żołnierza?

– Na pewno.

– Proszę poczekać w moim mieszkaniu.

Wyszedł na ulicę, kazał ustawić wszystkich saperów w szeregu i zwołał kobietę;

– Oto wszyscy nasi saperzy, proszę odszukać winowajcę.

Kobieta w asyście kapitana chodziła przed frontem i przyglądała się żołnierzom od stóp do głów. Przeszła raz, przeszła drugi raz i zarumieniona powiedziała:

– Tamtego nie widzę.

– To kogo ja mam ukarać?

– Tamtego, co złapał kurę.

– To widocznie nie był saper?

– Innych żołnierzy tu nie było.

– W takim razie obywatelka ma kiepską pamięć lub kiepski wzrok.

– Jedno i drugie, chwała Bogu, mam dobre.

Kapitan założył kciuki za pas, stanął w rozkroku przed frontem kompanii, spojrzał w lewo i prawo i wydał rozkaz:

– Saper, który zabrał kurę tej obywatelce, wystąp!

Wzdłuż szeregu przeleciał cichutki szmer. Głowy żołnierzy poruszyły się i dało się zauważyć wzruszenie ramionami. Nastąpiła grobowa cisza. Nikt z szeregu nie wystąpił. Kapitan kazał przygotować kompanię do odjazdu i poprosił poszkodowaną do siebie.

– Ile była warta kura? – zapytał.

– Bo ja wiem – odpowiedziała kobieta.

– No, mniej więcej?

– Może ze trzydzieści złotych.

Kapitan wyjął pieniądze i podał kobiecie, która prędzej zniknęła niż przyszła.

Saperzy wsiadali na samochody. Zrobiło się pochmurno. Od lasów powiało. Spadło parę kropli wiosennego deszczu. Zaciągnięto plandeki. Pod jedną z nich pośpiesznie wskoczył Janek, ordynans kapitana, który na nowym postoju zapytał go:

– Słuchaj, Janku, czemu nie byłeś na zbiórce kompanii?

– Obywatelu kapitanie, melduję, że ja nie należę do tej kompanii.

– Ty mi, bratku, nie filozofuj zbytnio. Powiedz lepiej gdzie byłeś przed samym odjazdem. Chciałem żebyś podskoczył...

– Dokąd, obywatelu kapitanie – przerwał.

– Chciałem, żebyś podskoczył do tej kobiety, wiesz, co to skarżyła się, że to niby ktoś z saperów jej kurę gwizdnął.

– Broń Boże, żebym ją więcej oglądał...

– Kurę czy tę kobietę?

– Jasne, że kobietę.

– A to z powodu?

– Żeby mnie jeszcze przypomniała sobie.

– Co to ma znaczyć, Janku?

– Kapitan taki dziwny, jak Bozię kocham. Przecież obywatel kapitan mnie pochwalił za dobry rosół. I kura była miękka...

– Zupełnie o tym zapomniałem.

– To ja życzę sobie, obywatelu kapitanie, by tamta kobieta o mnie zapomniała.

– Łajdaku jeden, zaczynam rozumieć. Ale czy ty zdajesz sobie sprawę, że ten rosół kosztował mnie trzydzieści złotych?

Białe róże

(tryptyk okupacyjny)

I. Dobre serce

Przyszedł późnym wieczorem, już po godzinie policyjnej, i wszedł bez pukania. Właścicielka mieszkania, kobieta niskiego wzrostu i silnej budowy, od kilku miesięcy przed pójściem spać nie zamykała drzwi na klucz. Ułatwiało to ciche i dyskretne wchodzenie kolegom męża, który zginął z ręki faszystów tuż po ich wkroczeniu do Warszawy.

Zjawienie się gestapowca w mundurze niezbyt zaskoczyło siedzącą w wiklinowym fotelu kobietę: była zawsze przygotowana na wszelkie ewentualności.

Niepożądany gość stał w rozkroku, z rękami złożonymi z tyłu. Ich szeroko otwarte oczy przenikały się wzajemnie w milczeniu.

– Jasińska? – odezwał się wreszcie.
– Tak.
– Zofia?
– Tak.
– Wdowa?
– Tak.
– Mąż zginął w 1939?
– Tak.
– Ma pani córkę?
– Tak.
– Leży w szpitalu?
– Tak.

Znowu zapadło milczenie. Sąsiedzi spali. Z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy.

– Wiem, że przyszedł pan po mnie – powiedziała cicho.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo jestem Polką.

– To za mało. Są też porządni Polacy. Nie wszyscy są bandytami.

– Ale może wrogami.

– Jest pani zbyt śmiała.

– To ostatnie wydarzenia uczyniły mnie taką.

Usiadł na krześle, oparł dłonie o uda i wpatrzył się w podłogę. Nic nie przerywało nocnej ciszy. Nie było nawet słychać oddechu tych dwojga obcych sobie ludzi.

– Mam się ubrać? – przerwała niewyraźną sytuację.

– A jak pani myśli? – podniósł głowę.

– Myślę, że nie.

– Dlaczego?

– Bo moja córeczka leży umierająca w szpitalu. Pan o tym dobrze wie. Muszę ją pochować, a potem ....

– Co potem? – przerwał.

– Potem może pan mnie zabrać. Będzie mi wtedy wszystko jedno, co ze mną zrobicie.

– A jeżeli córka wyzdrowieje?

– Pan doskonale wie, że nie. Z takiej choroby się nie wychodzi. Chciałabym tylko, żeby umarła w domu na swoim łóżeczku, na które pan teraz patrzy.

– Dobrze. Niech pani przywiezie córkę do domu.

Wstał.

– Za dwa albo trzy dni zajrzę – dodał, wychodząc. – Tylko proszę bez kawałów. O wszystkim będę wiedział. Uprzedzam.

Pierwszy dzień Jasińska poświęciła na uprzedzenie członków AK o nowej sytuacji i rzeczy z piwnicy przeniosła w bardziej bezpieczne miejsca. Następnego dnia po południu, mimo deszczu, przywiozła Halinkę ze szpitala do domu. Pięcioletnia dziewczynka przypominała wyschnięty patyczek na chwiejnych nóżkach. Wycieńczona chorobą, leukemią, podeszła do okna

i patrzyła na mijający brzydki, wietrzny i deszczowy dzień. Liście wirowały w powietrzu i opadały na chodniki niby kolorowe gałganki. Nadchodziła jesień. Po szybach spływały ostatnie deszczowe krople. Jasińska zasłoniła okno i zapaliła stojącą w rogu lampę. Ułożyła Halinkę w łóżeczku.

– Co ci dać, córeczko? – nachyliła się i pocałowała córkę w czoło, na które spadały jasne włoski. Halinka nie zauważyła dużej łzy matczynej spadającej na jej poduszkę.

– Niczego nie chcę, mamuśku. Jest mi dobrze przy tobie.

– Cieszę się, Halinko, że jesteś w domu, w swoim łóżeczku. Chociaż wojna, ale jeżeli czegoś zapragniesz, postaram się ci dostarczyć. Jeszcze są porządni ludzie. Zawsze pomogą. Teraz odpocznij. Dziś albo jutro przyjdzie na pewno jeden pan. Bądź dla niego grzeczną. On ci krzywdy nie zrobi. Dzięki niemu jesteś dziś w domu ze mną. Ty tego dziś nie rozumiesz, ale kiedy dorośniesz, to wszystko ci opowiem.

Wyszła do kuchni, aby coś przegryźć – cały dzień nie jadła. Po herbacie weszła do pokoju, sięgnęła do etażerki po książkę do czytania, przechyliła abażur lampy, aby światło nie padało na dziecko, i usiadła na fotelu. Trzymała otwartą książkę, jednak jej myśli błądziły całkiem w innym kierunku. Nasłuchiwała kroków od strony klatki schodowej, Długo nie musiała czekać.

Wszedł jak stary znajomy. Po cywilnemu wydał jej się mniej groźny i bardziej pospolity.

– Widzę, że jest pani słowna.

– Pan też.

– To jest cecha mojego wielkiego narodu. Polacy nie zawsze doceniają punktualność i źle na tym wychodzą. W pewnych okolicznościach bywają wyjątkowo uparci i zawzięci. Dużo na tym tracą.

– Najczęściej życie – stwierdziła cicho.

Udał, że nie słyszy. Podszedł do łóżeczka Halinki i zapytał:

– Jak się czujesz, maleńka?

Oczy dziewczynki biegały między matką a gestapowcem. Z jej wzroku można było wysnuć bezradność. Przypominała sobie zapowiedź mamusi o przyjściu człowieka, dzięki któremu leży teraz w swoim łóżeczku. Patrzyła z wdzięcznością w oczy nieznajomego. Cieszyła się widokiem dobrego człowieka.

– No, jak się czujesz? – powtórzył pytanie.

– Dobrze, proszę pana.
– A gdzie jest twój tatuś?
– Umarł.
– Pamiętasz kiedy?
– Nie. Byłam wtedy bardzo malutka.
– To skąd wiesz, że tatuś umarł?
– Bo mamusia mówiła...
– Co mówiła? – przerwał.
– Że tatusia zabili Niemcy.
– To ich nie lubisz?
– Nie lubię, i mamusia ...
– Co mamusia? – znowu przerywał.
– I mamusia też nie lubi. Ich nikt nie lubi.

Jasińska uniosła się z fotela i nerwowo zagryzała usta. Czekała, co wyjdzie z tej szczerej rozmowy. Szukała sposobu powstrzymania dziecinnych wyznań, lecz bała się pogorszyć sytuację.

– A mnie lubisz? – ponowił rozmowę z Halinką, która zaczynała go bawić.
– Pana bardzo lubię.
– Za co?
– Bo pan ma takie dobre serce.
– A dlaczego tak myślisz?
– Bo pan kazał mamusi przywieźć mnie do domu.

Rozmowa się urwała. Jasińska odetchnęła. Gestapowiec Schultz, były obywatel polski, obecnie folksdojcz, usiadł w fotelu i patrzył na jasne włosy Halinki. W jego wyobraźni miała postać dorosłej panny. Raptem wstał i szybko wyszedł bez jednego choćby słowa. Poszedł prosto do swojego mieszkania, położył się na tapczanie i patrzył w sufit. Prześladowały go słowa Halinki: „Dobre serce". On i .... dobre serce? Nic takiego potwornego nie robił, ale to, co widział... Dotąd wszystko wydawało mu się normalne, ale raptem coś w nim pękło. Przygniótł go jakiś ciężar, skronie ściskały mu potężne kleszcze. Nie mógł zasnąć. Rano nie poszedł do pracy. Lekarz nie stwierdził konkretnej choroby, dał jednak kilkudniowe zwolnienie.

Parę dni później Halinka zmarła i została pochowana na Powązkach. Na pogrzeb przyszli tylko najbliżsi. Na świeżym przyklepanym łopatami piasku

złożono tanie kwiaty. Czasy były ciężkie, niebezpieczne, ale przepełnione nadzieją jutra.

Jasińska na wszelki wypadek zaniechała w swoim mieszkaniu kontaktów z członkami organizacji podziemnych. Nie chodziło jej o własne istnienie – nie miała teraz dla kogo żyć. Mogła podejmować każde ryzyko, lecz chodziło jej o nienarażanie młodych i zdrowych Polaków, którzy czekali na odpowiednią chwilę, aby rozprawić się z nienawistnym okupantem. Na pozór zobojętniała na wszystko. Co parę dni jeździła na cmentarz, nawet nie myśląc o grożących łapankach. Nabrała przekonania o jakimś chroniącym ja szczęściu. Po ostatnich wypadkach powinna była zmienić miejsce zamieszkania, zniknąć przynajmniej na jakiś czas. Nie zrobiła tego, wcale nie przyszło to jej do głowy.

Pewnego wieczora, tuż po zapadnięciu zmierzchu, kiedy wzięła się do przepierki drobnych fatałaszków, usłyszała dzwonek (po śmierci Halinki zaczęła zamykać drzwi wejściowe na klucz). Bez pytania otworzyła. Przed nią stał znajomy gestapowiec w mundurze. Cofnęła się. Wszedł ON, jej władca, jej prokurator, jej sędzia, jej LOS. Tym razem przyjęła jego wizytę z pewnym zdziwieniem: liczyła, że zapomniał o jej istnieniu.

Wydał się zamyślony, jakby trochę smutny. Popatrzył na dziecinne łóżeczko i usiadł w fotelu przy lampie. Sięgnął po książkę i wertował bez czytania. Jasińska oparła się o chłodny kaflowy piec i stała, oczekując dalszych wydarzeń. Między nią a jej wrogiem utworzyła się głęboka przepaść ciszy, której żadne nie próbowało przeskoczyć.

Odrzucił książkę na stół, wstał i podszedł do okna. Nasłuchiwał. Doleciał odgłos strzału i za chwilę ujadanie psa. Ktoś musiał uciekać. Słychać było „halt!", potem „schnell, schnell". Po plecach Jasińskiej przebiegły dreszcze, wiedziała, co się dzieje na ulicy. Schultz odwrócił się, spojrzał jeszcze raz na puste łóżeczko po Halince i powiedział na wpół pytająco, na wpół twierdząco:

– Umarła.

– Umarła – potwierdziła cicho.

I znowu zapadła cisza. Męcząca, nieznośna cisza. Cisza, jakiej zwykle nasłuchuje skazaniec w swojej celi przed odejściem w ostatnią podróż. Jasińskiej zaczęły puszczać nerwy. Zagryzała wargi i zdawało się, że gotowa była skoczyć na niego jak tygrysica, ale wróg zachowywał się aż nazbyt spokojnie.

– No cóż, mam się ubierać? – rzuciła wreszcie w ciszę.

Pytanie trafiło w próżnię. Nałożył czapkę na głowę, spojrzał kobiecie w oczy i nieomal krzyknął:

– Nigdzie, do ciężkiej cholery, pani nie pójdzie. Wcale mi nie potrzebne pani życie. Może pani robić z nim, co tylko chce. Przecież podobno mam dobre serce. Tak przynajmniej powiedziała pani córeczka. Dotychczas nie wiedziałem o tym. – Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Tej nocy Jasińska nie spała. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Miała wrażenie, że okrutnie zażartował i każdego następnego dnia spodziewała się, że nieoczekiwanie zadzwonią i każą się ubierać. Jednak dnie upływały, a dzwonek przy drzwiach milczał. Tylko serce na odgłos kroków na schodach przyśpieszało tempo. O ile kilka dni temu była całkiem zrezygnowana, teraz poczuła raptem silną chęć do życia za wszelką cenę. Zaczęła częściej zaglądać na Powązki i, kładąc na grobie byle kwiatki, odczuwała nierozerwalną więź z jedynym ukochanym dzieckiem. Odżyła w niej matczyna miłość i biegła na cmentarz jak kochanek na spotkanie ze swoją najdroższą.

Pewnego dnia mocno się zdziwiła na widok świeżej białej róży na grobie Halinki. Zaintrygowana zapytała opiekunkę grobów, czy nie zauważyła, kto mógł przynieść kwiat na grób jej córeczki.

– Owszem, moja kochana pani – rozgadała się kobieta. – Był tu wczoraj dobrze ubrany, jeszcze dość młody pan, tak może lat koło czterdziestu. Myślałam, że może to ojciec, ale taka jedna powiedziała, że pani wdowa...

Kilka dni później Jasińska znowu zobaczyła dwie białe róże i poprawiając je, przeczytała przypiętą kartkę: „Tej, co przywróciła mi serce".

II. Plagiat

Pewien znany pisarz W. zaskarżył debiutanta literackiego N. o opublikowanie w prasie opowiadania o treści nieomal identycznej, co jedna z jego ostatnich nowelek. Była tylko pewna zmiana w tytule oraz inaczej ujęty sens niektórych zdań. Pan W. był całkowicie przekonany o popełnieniu plagiatu przez pana N.

Adwokat pisarza W. wniósł sprawę do Sądu Powiatowego dla miasta st. Warszawy i trzy tygodnie później sprawa znalazła się na wokandzie. Sala

rozpraw była prawie pusta: poza osobami bezpośrednio zainteresowanymi przyszło zaledwie kilku mniej znanych literatów, chociaż pan W. cieszył się opinią bardzo poczytnego. Zresztą złożyło się na to wiele przyczyn obiektywnych, jak wojna, sytuacja polityczna w kraju, niebezpieczeństwo poruszania się po mieście, brak odpowiedniej komunikacji, a przede wszystkim mało atrakcyjny i mało pikantny charakter rozprawy.

Powód, w oczekiwaniu na rozpoczęcie posiedzenia Wysokiego Sądu, paradował po korytarzu ze swoim adwokatem. Oskarżony zjawił się w towarzystwie starszej kobiety niskiego wzrostu i silnej budowy. Oboje siedzieli na ławce przy drzwiach sali rozpraw. On musiał jej coś dobitnie wyjaśniać, gdyż wpatrywała się w niego szeroko otwartymi jasnymi oczami i za każdym słowem potakiwała, lekko przechylając głowę. Adwokata pan N. nie angażował z dwóch zasadniczych przyczyn: był biedny i sprawę uważał za zbyt błahą, drobnego kalibru i niewymagającą znajomości zawiłych paragrafów.

Zgodnie z wyznaczoną godziną na sali pojawili się przewodniczący wraz z dwoma ławnikami. Obecni wstali. Sędzia, zajmując miejsce za długim stołem, spojrzał najpierw w stronę powoda z jego adwokatem, któremu z lekka się ukłonił, następnie powiódł wzrokiem po oskarżonym i kilku innych osobach. Wszyscy usiedli i zapanowała chwila wyczekiwania.

Przewodniczący otworzył pierwszą z wierzchu teczkę i monotonnym głosem odczytał treść oskarżenia. Uniósł głowę i, zdejmując okulary, rzekł w stronę ławy, na której siedział powód ze swoim adwokatem:

– Pan mecenas ma głos.

Ze zwykłą swadą fachowca w swojej specjalności adwokat szczegółowo i drobiazgowo wyłuszczył sedno oskarżyciela w stosunku do plagiatora.

– Proszę Wysokiego Sądu, sprawa jest prosta i oczywista. Nie ma potrzeby przedstawiania dużej ilości dowodów o karygodnym czynie pana N., który wyrządził materialną i moralną krzywdę tak poczytnemu i zacnemu pisarzowi, jakim jest mój klient. Zadałem sobie trud i przeczytałem opowiadanie mojego zacnego powoda pod tytułem *Dobre serce*. Potem poświęciłem swój cenny czas na przeczytanie opowiadania nikomu nieznanego początkującego literata pana N. o tytule nieco zmienionym. Z ubolewaniem stwierdziłem identyczność nie tylko pomysłów i fabuły, lecz wręcz, proszę Wysokiego Sądu, co szczególnie karygodne, niemal dosłownie przepisane całe zdania z opowiadania mojego

drogiego i ogólnie znanego pana W. Stanowi to naruszenie prawa autorskiego i godzi nie tylko w honor, lecz jednocześnie przynosi uszczerbek materialny mojemu klientowi. Jeżeli Wysoki Sąd uważa za konieczne i niezbędne, wtedy pozwolę sobie na odczytanie obu opowiadań w celu ich porównania.

Adwokat przerwał wywody i oczekiwał odpowiedzi przewodniczącego, który otworzył przymrużone, zmęczone oczy i rzekł:

– Na razie zbyteczne. Co pan mecenas ma jeszcze do powiedzenia?

– Mogę tylko dodać i podkreślić, że osobiście jestem oburzony bezwstydnym i perfidnym popełnieniem przez oskarżonego tak karygodnego czynu, zwanego plagiatem. Pozwolę sobie przedstawić odpis obu opowiadań jako dowodu rzeczowego. Może Wysoki Sąd zechce choć częściowo i pobieżnie rzucić okiem na niektóre urywki i porównać, aby przekonać się, że twierdzenie moje nie jest gołosłowne, lecz oparte na podstawie słowa drukowanego, które stało się własnością całej czytającej publiczności.

Ławnicy nachylili się w stronę przewodniczącego i coś szeptali mu na ucho. Potakiwał głową i po pewnej przerwie oświadczył:

– Uważam za zbyteczne odczytywanie opowiadań przed zeznaniem oskarżonego i proszę mecenasa o wypowiedzenie konkretnych żądań swojego klienta.

– Proszę Wysokiego Sądu o zasądzenie na rzecz powoda trzech tysięcy złotych, przypisanie oskarżonemu pokrycia kosztów sądowych oraz podanie do wiadomości publicznej w prasie literackiej i codziennej o popełnieniu plagiatu, a także przeproszenie mojego klienta.

Adwokat usiadł. Pisarz W. uścisnął mu po przyjacielsku rękę w dowód uznania. Przewodniczący popatrzył badawczo w oczy oskarżyciela i poprosił go o wypowiedzenie się w tej sprawie.

– Wyraźnie i dobitnie – rzekł powód – mój adwokat wyłuszczył sprawę interesującą obecnych na sali. Z całą rozciągłością podtrzymuję wniosek zacnego mecenasa i pozostawiam ostateczną decyzję Wysokiemu Sądowi.

Przewodniczący mruknął coś pod nosem, nachylając się do starszego wiekiem ławnika w okularach i powiedział cichym głosem:

– Proszę oskarżonego o zabranie głosu.

– Proszę Wysokiego Sądu – zaczął oskarżony. – Słuchając wywodów i dowodów zacnego mecenasa z ramienia mojego oskarżyciela, nie mogłem się

nadziwić tak niekonsekwentnej argumentacji popełnienia przeze mnie jakoby plagiatu literackiego. Pan W. jest powszechnie szanowanym pisarzem. Również przeze mnie. Jestem wielbicielem jego przecudownych, szczególnie drobnych opowiadań i małych nowelek. Ale słuchając skierowanych przeciwko mnie wywodów adwokata, nabrałem przekonania o jego całkowitej ignorancji co do tajników twórczości literackiej i braku pojęcia o sile wyobraźni ludzi piszących

Widzę, że tajniki warsztatu literackiego są obce panu mecenasowi w takim samym stopniu, jak mnie obce są paragrafy różnych kodeksów prawnych. Adwokat zapomniał o jednej zasadniczej sprawie, a mianowicie, że ludzka wyobraźnia nie zna ani granic państwowych, ani przestrzennych. Nie zdaje sobie sprawy, że ludzkie mózgi na całej kuli ziemskiej zdolne są w jednym i tym samym czasie wpaść na identyczne pomysły, gdyż życie ludzkie kieruje się zbliżonymi dążeniami i zagadnieniami niezależnie od narodowości. Nie trzeba sięgać aż tak daleko. Wystarczy nasz mały kraj pełen namiętności różnego rodzaju. Okupację przetrwaliśmy wszyscy z jednakowym uczuciem pogardy dla wroga. Wielu z nas przeżyło niejedną tragedię. Więc proszę, Wysokiego Sądu, czy nie mogły chociażby zrodzić się wspólne nam pomysły literackie? Do winy popełnienia plagiatu nie przyznaję się i jedynym moim dowodem jest ten oto świadek, ta siedząca obok mnie kobieta.

Usiadł. Przewodniczący, słuchając górnolotnych i nieco mętnych wywodów oskarżonego, troszeczkę się zdrzemnął, odlatując na chwilę wyobraźnią w zaświaty, do czego skłoniły go poetyckie i filozoficzne rozważania oskarżonego. Obecnym zdawało się wszakże, że zgłębiał w tym czasie meritum sprawy. Oskarżony skorzystał z chwilowej ciszy, aby poprosić przewodniczącego o przesłuchanie jego świadka. Usiadł i szepnął coś do ucha kobiety. Dzięki temu przewodniczący zdążył wrócić z obłoków na właściwe miejsce i poprosił świadka o zeznanie.

Obecni z zainteresowaniem spojrzeli na niską, krępą kobietę o jasnych włosach, która stanęła przed stołem prezydialnym. Na jej zmęczonej twarzy rysował się spokój i łagodność.

– Świadek musi mówić prawdę – rzekł przewodniczący – i być świadomą odpowiedzialności z § 140 Kk.

– Rozumiem, proszę Wysokiego Sądu.

– Jasińska Zofia.

– Lat?

– Pięćdziesiąt sześć.

– Stan cywilny?

– Wdowa.

– Czy świadek ma dzieci?

– Nie.

– Jak dawno świadek zna oskarżonego i co świadka łączy z panem N.?

– Znam go od pół roku i łączy mnie zwyczajnie tylko przypadkowa znajomość.

– Co pani jest wiadomym w sprawie plagiatu i czy pani rozumie to słowo?

– Oskarżony mi wyjaśnił.

– Proszę mówić dalej.

– Wczoraj dowiedziałam się od pana N., że jakiś pisarz chce go ukarać za napisanie tak ładnego opowiadania.

– I to świadka nie zdziwiło?

– Właściwie mnie nie tylko zdziwiło, lecz wręcz oburzyło. Nie rozumiem, jak można mieć do kogoś pretensje, że ktoś ładnie pisze o tym, co mogło zdarzyć się w życiu.

– Jak to mogło się zdarzyć? Niech świadek sprecyzuje.

– No, bo jak oskarżony był ostatnio u mnie w nowym mieszkaniu, które niedawno otrzymałam, bo dwanaście lat mieszkałam kątem w suterenie, to wtedy właśnie po wypiciu herbaty z pączkami, które nawiasem mówiąc przyniósł oskarżony, opowiedziałam mu tę historię z gestapowcem z czasów okupacji.

– Jaką historię?

– No właśnie historię z gestapowcem, który był u mnie i nie zabrał mnie z powodu choroby mojej jedynej córeczki i …

– Przerywam świadkowi – oburzył się przewodniczący. – Świadek zeznał, że dzieci nie ma…

– Proszę Wysokiego Sądu, i dalej twierdzę, że dzieci nie mam. Powtarzam, że opowiadając historię z okupacji, tak się przejęłam, że naprawdę zdawało mi się, że widzę łóżeczko w swoim pokoju, a w nim leży ładna dziewczynka o jasnych włoskach. Jest bardzo chora. Jak dziś widzę i słyszę rozmowę có-

reczki z gestapowcem, któremu mówi o dobrym sercu, bo dzięki niemu może być w domu, i różne inne rzeczy, o których…

– Nadal nic nie rozumiem – zaczął złościć się przewodniczący. – Niech świadek mówi jaśniej, inaczej będę zmuszony skierować świadka na badanie lekarskie.

– Mnie? – żachnęła się Jasińska.

– Tak, panią, bo pani opowiada brednie.

– Ja? Brednie?

– Tak, bo pani wymyśla jakieś niesamowite rzeczy, których nie sposób zrozumieć.

– Nie, proszę Wysokiego Sądu, to przecież wszystko takie proste. Kiedyś przeczytałam gdzieś opowiadanie o podobnej treści. Tak się nim przejęłam i tak je przeżyłam, że wprost byłam przekonana o prawdziwości tego zdarzenia i opowiedziałam je oskarżonemu, stawiając siebie na miejscu bohaterki. Chciałam wprost zaimponować znajomemu cudzymi przeżyciami, bo moje własne są bardzo nieciekawe.

– I świadek nic nie wspomniał, że opowiada historię opowiedzianą lub raczej napisaną przez kogoś innego?

– Jasne, że nie, bo wtedy byłoby mało ciekawe.

– I oskarżony o nic świadka nie pytał?

– Nie. Stał zamyślony przy oknie. Niby słuchał, niby coś kombinował. Wychodząc, wymamrotał tylko: „Ciekawa historia".

– Kiedy ostatnio świadek widział się z oskarżonym?

– Wczoraj. Właśnie wczoraj przybiegł do mnie pan N. i powiedział, że opisał wszystko, co mu opowiedziałam, dał mi przeczytać swoje opowiadanie, przyniósł czekoladkę kupioną za pieniądze z honorarium za to opowiadanie i poprosił, żebym dziś poszła z nim do sądu i potwierdziła fakt swojej ustnej opowieści o przeżyciach okupacyjnych.

– Dlaczego świadek nie wspomniał oskarżonemu, że swoją opowieść zaczerpnął z lektury?

– Bo pragnęłam, aby uważał mnie za bohaterkę.

– Czy świadek zdaje sobie sprawę, że sąd i wszyscy tu obecni zebrali się tylko dzięki pani bujnej wyobraźni?

– Przedtem nigdy bym o tym nie pomyślała, ale teraz widzę, że rzeczywiście ponoszę winę i proszę mnie za to ukarać, zwalniając z odpowiedzialności

oskarżonego. Plagiat, co prawda ustny, popełniłam raczej ja. Nie pamiętam nazwiska autora opowiadania, które kiedyś czytałam, ale mój znajomy pan N. bardzo ładnie opisał to, co mu opowiedziałam.

– Ma pani wyjątkową okazję poznać pierwszego autora tego opowiadania pana W. – powiedział przewodniczący.

Spojrzenie Jasińskiej utkwiło w literacie W.

Przewodniczący sądu odetchnął nareszcie głęboko i zwrócił się do oskarżyciela:

– Czy powód nadal podtrzymuje oskarżenie przeciw panu N.?

– Wysoki Sądzie, wobec zaskakującego spotkania takiej czytelniczki, która wcieliła się w bohaterkę mojego opowiadania, osnutego na tle rzeczywistych wydarzeń z okupacji hitlerowskiej, odwołuję oskarżenie przeciwko panu N. i proszę o przypisanie kosztów sądowych mojej osobie.

III. W sądzie

– Nazywam się Schultz, proszę Wysokiego Sądu, podkreślam, że jestem Schultz. To jest bardzo ważne, bo od tego zaczęło się całe moje nieszczęście i zejście na niewłaściwą drogę życiową. Babka moja, ze swą córką, późniejszą moją matką, niegdyś mieszkała nad Wołgą. Potem przeniosła się do jednej z podwarszawskich wsi, położonej wśród sosnowych lasów. W tej wiosce mieszkał zamożny gospodarz nazwiskiem Schultz, który został moim ojcem. Rodzice byli ewangelikami i to stało się drugą przyczyną mojego przyszłego wykolejenia. Wtedy nie pytano dzieci, do jakiego Boga chcą należeć. Co prawda, kościoła u nas nie było i byliśmy ewangelikami raczej na papierze. Wyrosłem na zdrowego, silnego rekruta o szerokich plecach. Takich potrzebowali do wojsk saperskich. Drewniane i żelazne belki dobrze pasowały do moich ramion. Z czasem wykazałem się zdolnościami stolarskimi i po zakończeniu służby wojskowej zostałem zaprotegowany przez swoich dowódców do pracy w Stoczni Modlińskiej. To był następny krok, który z czasem doprowadził mnie do tej sali sądowej. Nie powiem, żeby mnie było źle na świecie: zarabiałem dobrze i byłem lubiany przez przełożonych i kolegów.

Dopiero, proszę Wysokiego Sądu, wszystko potoczyło się inaczej z chwilą, gdy w Niemczech doszedł do władzy Hitler. „Uważaj, Schultz – mówili

w żartach koledzy – żebyś nie został czasem hitlerowcem. Twoje nazwisko pachnie trochę mniejszością niemiecką". Nie czułem w tym zachęty do dobrej pracy. Sytuacja pogarszała się w miarę nadciągania wybuchu wojny. Przekonałem się niebawem, że jestem obserwowany i niechętnie widziany wśród kolegów. Drażniło mnie to, gdyż nie czułem się choćby na jotę innym, niż byłem dawniej.

Wysoki Sąd wie, że człowiek jest stworzeniem, które garnie się do tych, co głaszczą. I znaleźli się tacy. W okolicach Modlina, w Kazuniu Niemieckim, było sporo zamożnych gospodarzy. Mieli piękne sady i domy tonące w kwiatach. Byli ewangelikami i posiadali swój dom modlitwy. Lojalni dotychczas obywatele Polski poczuli się raptem posłannikami „czystej rasy". Do ich umysłów dobrała się piąta kolumna.

Pewnej niedzieli pojechałem na rowerze do domu modlitwy w Kazuniu Niemieckim. Nie powiem, żeby się specjalnie modlić – z Bogiem bywało u mnie różnie. Był piękny lipcowy dzień i po prostu pojechałem na spacer. Po nabożeństwie stałem w cieniu wysokiej wierzby, gdy podeszła do mnie dziewczyna o jasnych włosach i nadzwyczajnej urody. Zdziwiłem się, że znała nie tylko moje nazwisko, lecz całą rodzinną sytuację. Zaprosiła mnie na spotkanie z młodzieżą w prywatnym mieszkaniu. Przyszło również kilka osób starszych. Mówili o wyższości germańskiej rasy nad innymi narodami. Szczególnie atakowali Żydów. Udowadniali, że mało kulturalne narody słowiańskie nie są zdolne do samodzielnego istnienia i że tylko wielki naród niemiecki może dać dobrobyt ludziom i jemu winni wszyscy być podporządkowani. Mała ilość Słowian zajmuje ogromne obszary, zaś cywilizowany naród niemiecki dusi się na małej przestrzeni. Nadchodzą czasy sprawiedliwości i zadaniem mniejszości niemieckich jest pomoc kochanemu Hitlerowi. Bądźcie czujni – polskie bandy napadają na naszych braci.

Dużo różnych rzeczy mówili, ale mnie zajmowała tylko jedna osoba – ta dziewczyna. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. To, co się działo wtedy ze mną, jest trudne do wyrażenia słowami. Miłość? Można tak nazwać, ale to byłoby namiastką uczucia, jakie obudziła we mnie ta młoda kobieta. Straciłem zdolność rozumowania. Widziałem ją przed wybuchem wojny, dwa albo trzy razy. Byłem narzędziem propagandy w jej rękach. Wybuchła wojna. Warszawa została zajęta. Siedziałem spokojnie na wsi. Pewnego dnia nadjechali

Niemcy na motocyklach. Ojciec powitał ich niemiecką mową. Wciągnęli nas na listę folksdojczów. Po kilku dniach sołtys wręczył mi zalakowaną kopertę. Miałem stawić się w Gestapo, pokój 132. Gdy wszedłem do gabinetu, zobaczyłem przy maszynie do pisania moją dziewczynę. Opanowało mnie dziwne uczucie, które można określić bliżej słowem ambiwalencji. Niesamowita radość zmieszana z nieokreślonym strachem.

Hauptmann sięgnął do szafki po butelkę koniaku, nalał dwa kieliszki i powiedział: „Bardzo przyjemnie poznać was osobiście. Wiem o was dużo i mam nadzieję, że pomożecie nam w doprowadzeniu naszego zwycięskiego marszu do końca. Znacie dobrze rejon Modlina i Nowego Dworu, który będzie granicą Wielkiej Rzeszy. Poślemy tam was z zadaniem niedopuszczania szkodliwych elementów z Generalnej Guberni. Waszych przełożonych poznacie na miejscu. Ubiór dowolny – zależy od okoliczności i zadania".

Słuchałem i jednocześnie patrzyłem na maszynistkę. Nie było wątpliwości, że koperta zawierała wezwanie napisane przez nią. Dzięki niej stałem się mimo mojej woli sługą hitlerowskich Niemiec.

Proszę Wysoki Sąd o cierpliwość, gdyż w tym wypadku chodzi o ludzkie życie. Urzędowałem więc w wyznaczonym rejonie. Jeździłem raz w tygodniu do Warszawy. Każdej niedzieli przyjeżdżała do mnie maszynistka z Gestapo. Początkowo nie wiedziałem, że darzyła mnie niepospolitym uczuciem. Byłem szczęśliwy. Sumienie moje stało się czystsze, kiedy w Nowym Dworze spotkałem plutonowego M., byłego przełożonego z batalionu saperów, który również został folksdojczem, chociaż nie miał ku temu podstawy. Ten były plutonowy robił kokosy na chlebie – otworzył piekarnię. Wysoki Sąd wie, co znaczy chleb w czasie wojny. Po ten chleb wędrowali do Nowego Dworu z Generalnej Guberni. Zresztą wszyscy szmuglowali wszystko, co tylko się dało. Każdy chciał jeść, by żyć. Pewnego popołudnia spotkałem w piekarni literata N., który jest jednym z moich świadków. Wojna się przeciągała, Niemcy hitlerowskie zaczęły przegrywać i gdy nastąpił początek ich klęski, zrozumiałem dzięki różnym okolicznościom, o których zeznają moi świadkowie, że popełniłem zdradę względem swojej ojczyzny, której przysięgałem jako rekrut.

Miałem możność zostać w Polsce z różnymi dokumentami i uczciwie pracować. I tak było, bo zostałem nawet sekretarzem komitetu partyjnego

w Helu. Pewnego wiosennego dnia zjawili się tam saperzy. Obudził się we mnie dawny sentyment do granic ojcowskich. Zaopiekowałem się nowym wojskiem polskim. Niczego im nie brakowało. Rybackie firmy nie żałowały jadła i napoju w postaci piwa. Unikałem jednak bliższych kontaktów osobistych. Ale zaszły okoliczności, które doprowadziły mnie na salę sądową...

– Proszę oskarżonego o streszczanie się – przerwał przewodniczący, bliski utraty cierpliwości.

– Proszę Wysokiego Sądu, zbliżam się do końca wyjaśnień, ale proszę mi pozwolić dokończyć, bez tego moje dotychczasowe wywody będą bez sensu. Otóż w Helu jest miła knajpka Pod Lwem. Tam jadali obiady oficerowie, a wieczorami zbierali się rybacy różnych narodowości, szczególnie Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie. Porządnie zakrapiali. Największą atrakcją knajpy była młoda sarenka, która plątała się między stolikami niby kot, niby pies. Często wychodziła nawet w nocy do karłowatych lasków sosnowych i wracała. Pewnego razu zabrnęła w krzaki w pobliżu wartownika. Była bezgwiezdna ciemna noc. Na wezwanie wartownika nie odpowiedziała, oddał więc strzał i sarenka zamknęła na zawsze oczy. I to stało się ostatnim aktem mojej tragedii.

Właściciel ze łzami w oczach przygotował z sarenki pieczeń na kolację dla oficerów, którzy tym razem i mnie zaprosili. Akurat się złożyło, że w tym dniu przyjechał na kontrolę gruby major niskiego wzrostu, który podczas kolacji siedział naprzeciw mnie. Po kilku kieliszkach wlepił swoje zmrużone oczy w moją twarz i cały czerwony i spocony krzyknął: „Jak Boga kocham (był partyjny) Schultz!". „Schultz, jak Boga kocham", powtórzył. Na drugi dzień zostałem aresztowany, bo przecież w Helu nie byłem Schultzem. I oto stoję przed Wysokim Sądem i gotów jestem ponieść karę, tylko proszę wcześniej o wysłuchanie moich świadków. Skończyłem.

Wszyscy odetchnęli. Przewodniczący zarządził półgodzinną przerwę, po której nastąpiło przesłuchiwanie świadków. Pierwszy zeznawał literat N.

– Co świadek wie o podsądnym?

– Proszę Wysokiego Sądu, oskarżonego wiedziałem raz w życiu w czasie okupacji. Wybrałem się na szmugiel do Nowego Dworu. Trafiłem do piekarni Genca. Ledwie zdążyłem wsadzić do plecaka piąty bochenek chleba, gdy nagle wszedł po cywilnemu podsądny z długą szpicrutą w ręku. Przyjrzał

mi się dokładnie i powiedział: „Moje uszanowanie porucznikowi. Pan mnie może nie znać, bo gdy pan przychodził do Stoczni Modlińskiej do pewnego inżyniera, ja byłem zwykłym stolarzem".

„Możliwe", bąknąłem zarumieniony i pomyślałem, że wpadłem na całego. „Za chlebem, poruczniku, za chlebem", przerwał moje zakłopotanie. „Proszę bardzo, proszę bardzo, tylko za dużo od razu proszę nie brać, no i radziłbym więcej nie pokazywać się na tym terenie. Ja panu krzywdy nie zrobię, ale moi koledzy... Za nich nie ręczę". Na tym się szmugiel mój zakończył i więcej podsądnego do dnia dzisiejszego nie widziałem.

Następnie zeznawał znany literat W.

– Poznałem Schultza, proszę Wysokiego Sądu, w niecodziennych okolicznościach. Miałem piękną córkę o jasnych włosach i niebieskich oczach. Była jedynaczką. Przed samą wojną studiowała języki obce na wyższej uczelni. Szczególnie język niemiecki. Moja żona nieboszczka pochodziła z poznańskiego i świetnie władała tym językiem. Wyjechała do Niemiec na praktykę i tam zastała ją wojna. Tak przynajmniej byłem przekonany. Przestałem wierzyć, że ją kiedyś spotkam Pewnego dnia trafiłem w łapankę i zawieźli mnie do Gestapo w Alei Szucha. Po dwóch dniach wypuścili. Byłem zaskoczony.

Kilka tygodni później zapukano do mojego mieszkania. Byłem przekonany, że przyjechali ponownie po mnie. Proszę sobie wyobrazić: przede mną stała moja najdroższa córka. „Tatusiu – powiedziała zadyszana – uciekłam z niemieckiego obozu. Mogą mnie szukać. Ja tutaj nie mogę zostać. Mam pokoik, o którym wie tylko jeden człowiek. Kiedyś go poznasz. Adres tatusia Gestapo zna i...". „Skąd o tym wiesz", przerwałem.

„Tatusiu, teraz nie czas na to, muszę lecieć. Do ciebie wpadnie może jeden pan. Nazywa się Schultz. Może dzięki niemu wyjdę cało z tego wszystkiego". „Z czego wszystkiego?", pytam. Nie odpowiedziała i szybkim krokiem odeszła.

W deszczowy poranek, kiedy wybierałem się do sklepu, wszedł do mojego mieszkania podsądny. Oświadczył, że za parę minut przyjdzie moja córka, która musi pozostać u mnie parę dni. Wyszedł. Półgodziny później weszła córka. Jej zachowanie wskazywało na wyjątkowe zdenerwowanie. Zostawiłem ją w domu i poszedłem kupić coś do zjedzenia. Gdy wróciłem, moja córka leżała zastrzelona na podłodze. Na stole znalazłem kartkę: „Skazana na karę śmierci za współpracę z Gestapo. Dowództwo AK".

Córkę pochowałem. Jej przeszłość pozostała dla mnie tajemnicą. Dziwiły mnie czasem pojawiające się na mogile białe róże. Męczyłem się, póki nie napisałem krótkiego opowiadania pod tytułem *Dobre serce*. Więcej w tej sprawie nic mi nie jest wiadome.

– Mam pytanie do podsądnego – powiedział prokurator.

– Oskarżony do pańskiej dyspozycji – kiwnął głową zmęczony przewodniczący.

– Może oskarżony powie, gdzie i w jakich okolicznościach poznał córkę pana W.?

– To właśnie Halina W. zaprosiła mnie przed wojną na zebranie w Kazuniu Niemieckim. To właśnie ona była maszynistką w Gestapo. To dzięki niej zostałem wciągnięty do pracy na korzyść Niemiec hitlerowskich, bo kochałem ją do nieprzytomności. Kiedy nabrałem przekonania o zbliżającej się klęsce Hitlera, postanowiłem ratować naszą miłość. Namówiłem ją do ucieczki z Gestapo. Nie doceniłem wszakże siły podziemnych polskich organizacji. Dopiero w ostatniej chwili przekonałem się, że jest śledzona, ale było już za późno. Jedno z nas zostało już ukarane za swoje błędy. Drugie czeka na sprawiedliwy wyrok. Dziewczyna, którą kochałem, zrobiła jedyny dobry uczynek. Kiedy jej ojca przywieźli do Gestapo i dali córce wykaz osób skazanych na rozstrzelanie, nazwisko ojca opuściła i kazała szybko bocznym wejściem wypuścić na swobodę. Mnie pozostał jedynie grób i składanie niekiedy białych róż, o czym wie opiekunka grobów, która jest moim następnym świadkiem.

– Podsądnego osobiście nie znam – zeznała dozorczyni cmentarza – widziałam go jedynie parę razy przy składaniu białych róż na grobie młodej dziewczyny. Z tymi ładnymi kwiatami to proszę Wysokiego Sądu mam dużo kłopotu, bo chłopcy stale je kradną, nie boją się nawet Boga…

– Proszę świadka – przerwał przewodniczący – trzymać się ściśle sprawy podsądnego.

– Właśnie proszę Wysokiego Sądu, ja zmierzam w tym kierunku, bo gdy złapałam chłopaka z różami i kazałam mu odnieść, tam skąd je wziął, wtedy zobaczyłam oskarżonego przy tym grobie. Dlatego wiedziałam już, kto róże przynosi. Więcej mnie nic nie interesowało.

Przewodniczący rozprawy z opuszczoną głową myślał o groteskowym obrocie tak poważnej sprawy i nie mógł wyrobić sobie określonego poglądu co do konkretnej winy oskarżonego, któremu udzielił ostatniego słowa.

– Nic więcej nie mam do powiedzenia – rzekł Schultz – chyba tylko to, że chciałbym być dobrym stolarzem jak przed wojną i pracą swoją odkupić choć cześć winy. Proszę o danie mi możliwości wejścia na prostą drogę życiową, z której nigdy w przyszłości nie zejdę.

– Proszę prokuratora o ostateczny wniosek – powiedział sędzia.

– Proszę Wysokiego Sądu, ponieważ na sali nie padło przeciwko oskarżonemu ani jedno słowo i pomimo ogłoszenia w prasie nikt nie dostarczył dowodów zbrodniczych przeciwko podsądnemu, stawiam wniosek o rehabilitację.

Sąd udał się na naradę i po czterdziestu minutach wszedł na salę.

– Proszę obecnych o powstanie. Ogłaszam wyrok w sprawie obywatela polskiego w czasie okupacji przynależnego do narodowości niemieckiej Adolfa Schultza, syna Karola i Gertrudy z Hoffmannów, urodzonego w roku 1906 dnia 27 listopada we wsi Kobiałka koło Warszawy. Biorąc pod uwagę zeznania świadków, wykazaną skruchę przez podsądnego, braku dowodów zbrodniczej działalności w czasie okupacji i wykazaną gorliwość pełnienia obowiązków dla Polski Ludowej oraz okoliczność, że podsądny został wciągnięty na złą drogę przez Halinę W. Sąd przychyla się do wniosku prokuratora i zwalnia z aresztu i przywraca mu, Adolfowi Schultzowi, wszystkie prawa obywatelskie Rzeczypospolitej Polskiej Ludowej. Wyrok ma moc natychmiastowego wykonania.

Po rozprawie prokurator wziął pod rękę literata W. i zapytał:

– Proszę mi powiedzieć tylko jedną rzecz. Jak to się stało, że pańska córka w opowiadaniu jako młodziutka zmarła na białaczkę, kiedy w rzeczywistości została zastrzelona jako maszynistka Gestapo?

– Pan prokurator zapomina o dwóch zasadniczych sprawach: po pierwsze, zastrzelona nie używała mojego nazwiska, a po drugie, przecież, do licha, jestem przede wszystkim literatem.

Wąska uliczka

Pod wieczór pewnego letniego dnia wyszedłem z Hotelu Europejskiego. Nad Grobem Nieznanego Żołnierza wisiało słońce w postaci ogromnej czerwonej kuli. Porzuciłem wszelkie doniosłe plany na ten wieczór i poszedłem za powoli zachodzącym słońcem. Zaprowadziło mnie do Ogrodu Saskiego, gdzie schowało się za rozczapierzonymi liśćmi kasztanów, czerwieniąc granatowiejące z wolna niebo.

Chciałem iść boczną ścieżką nad stawem, ale na kilku ławkach zobaczyłem siedzące młode pary. Dyskrecja nakazała mi wrócić na główną aleję. Po jakimś czasie zauważyłem jednak, że zakochanym parom spacerujący ludzie wcale nie przeszkadzali w okazywaniu wzajemnych intymnych uczuć.

Schowałem więc swoją dyskrecję do kieszeni i skierowałem się w boczne alejki. W jednej z nich na pierwszej ławce siedziała spleciona młoda para: ich nogi oplatały się wzajemnie, jego głowa zwisała na jej karku, jej głowa na jego piersi, ręce splecione na jej podbrzuszu. Ona od czasu do czasu zerkała dumnie jednym okiem na przechodniów, pewnie święcie przekonana, że wszyscy, starzy i młodzi, ogromnie im zazdroszczą. Nie dostrzegała wszakże ironicznych dyskretnych uśmieszków osób dojrzałych i dziewczęcego parskania głośnym śmiechem. Pogrążeni w swoim przelotnym szczęściu nie odbierali właściwie sygnałów świata zewnętrznego, który teraz dla nich nie istniał i wcale nie był im potrzebny.

Następna para, dużo młodsza od poprzedniej, okazywała swoje uczucia w sposób nieco odmienny: ona miała głowę odchyloną na oparcie ławki, a on od czasu do czasu całował zapalczywie jej usta i zaraz spoglądał na przechodniów, oceniając, jakie wywiera to wrażenie na obcych ludziach.

Trzecia para na kolejnej ławce ujawniała rozpierającą ich namiętność z pewnym zażenowaniem: czekała, aż przechodnie miną ich ławkę i wtedy błyskawicznie obsypywała się pocałunkami, aby równie szybko oderwać od siebie usta przed nadejściem spacerowiczów.

Usiadłem na ławce naprzeciw stawu. Niedaleko siedziała samotna dziewczyna, trzymała w ręku patyk, którym rysowała esy-floresy na wydeptanej ziemi i dyskretnie zerkała w stronę zakochanych par. O czym myślała? Może czekała na chłopca? Na jej twarzy pojawiał się smutny uśmiech. Czy drwiła, czy zazdrościła? Kto to odgadnie?

Pełen wspomnień o dawnych czasach wróciłem o zmierzchu do domu i długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o naszych odwiecznych złych i dobrych uczuciach oraz szybkim, zbyt szybkim przemijaniu. Żałowałem młodzieńczych lat, które niepostrzeżenie minęły, ale któż ich nie żałuje. Za jakiś czas te pary z naszych parków będą również dziwić się swoim następcom. Może nawet rodzonym dzieciom.

Śnieżna i mroźna zima zatrzymała uczucia w zacisznych mieszkaniach; skulone niczym zmarznięte pączki na drzewach czekają na pierwsze promienie wiosennego słońca, by raptem rozwinąć się całą swoją mocą i wybuchnąć płomieniem gorejących pragnień.

Wiele okien naszego dużego domu wychodzi na wąską i krótką uliczkę, Gdyby była prosta, to stojąc na jednym jej końcu, można by było ujrzeć drugi. Uliczka-ścieżka, bez tabliczki z nazwą, którą nikt nie jeździ. Tędy przechodzą wyłącznie wtajemniczeni. Przeżywa dwa okresy: zimy oraz lata, ciepłego i zielonego, a każdy jest pełen życia.

Zimą i wczesną wiosną, nim zazielenią się drzewa i krzewy, widać czasami jak po udeptanym głębokim śniegu ktoś skraca sobie drogę. Ten cichy biały okres jest ożywiony przez najrozmaitsze ptaki: gołębie, synogarlice, wrony, gawrony, kawki, sikorki, wróble. Zlatują do ośnieżonych ogrodów i siedząc na dachach, drzewach, krzewach i balkonach czekają na ukazanie się w lufciku troskliwej ludzkiej ręki z chlebem lub ziarnem. Walczą o każdą odrobinę pożywienia, walczą o swoje życie. Żarłoczne, ciągle nienasycone gołębie, wiecznie gruchające niezależnie od aury, są agresywne i napastliwe. Delikatne beżowe synogarlice siedzą na balustradach i przyglądają się chciwym gołębiom, czekając kiedy także im coś się dostanie. Sprytne wróble

chwytają kawałeczki chleba i niby złodziejaszki uciekają w bezpieczne miejsca. Wrony i kawki dziobią wyrzucone pajdy chleba, pozostawiając obręcze ze skórek, które nieraz wskakują im na szyję. Najciekawszym zjawiskiem jest wielki gawron, wpychający ugniatający dziobem kawałki chleba pod śnieg. Odlatuje, by na drugi dzień mieć gotowe pożywienie. Wykazuje rzadko spotykany u ptaków spryt. Rozmaitej wielkości sikorki wpadają jak strzała w zapasy żywnościowe gospodyń na balkonach lub parapetach okien, nakłuwają silnymi dziobkami zawinięte produkty, szukają tłuszczu albo słodyczy. Bystre i płochliwe są najmilszymi gośćmi zimowymi.

Na śniegu często widać ślady bezpańskich kotów, które jedne paniusie karmią, drugie trują. Różne są charaktery ludzkie. Koty polują czasem na ptaszki, bo są głodne i taka jest też ich natura. Chłopcy łapią koty i sprzedają naukowcom. Chłopcy chcą palić papierosy i pić wino lub wódkę. Naukowcy chcą ratować ludzi od różnych chorób i jednocześnie demoralizują chłopców. Świat w ogóle jest śmieszno-skomplikowany.

Zima powoli zamiera. Biały puszysty śnieg staje się coraz ciemniejszy i brudniejszy i coraz go mniej. Wyłażą spod niego placki ziemi, odsłaniają się różne papierki, niedopałki, szmatki oraz inne śmieci. Zima odkrywa charakter mieszkańców kamienicy. Ludziom często się wydaje, że ich grzechy należą wyłącznie do nich.

Wróble uganiają się po krzewach, które powoli zielenieją pod wpływem wiosennego ciepła. Swoim świergotem błogosławią nadchodzącą wiosnę. Inne ptaszki odleciały. Tylko gołębie uwijają się na dachach i atakują każdą wyciągniętą na zewnątrz rękę. Obudziły się brzozy, klony, jesiony i drzewa owocowe. Kiedy wokół będzie zielono, zakwitną magnolie swoimi dużymi białymi kwiatami o różowym odcieniu. Z każdym dniem wiosennym wąska uliczka coraz bardziej znika w rozkwitającej zieleni. Raptem zrobiło się ciemno i pochmurno. Z nieba poleciały różnej wielkości płatki śniegu. Pożegnaliśmy wiosenny nieoczekiwany już śnieg. Święty Piotr rozpruł pierzyny, dużo pierzyn. Wielkie kosmate białe płatki śniegu majestatycznie opadają i momentalnie giną przy dotknięciu ciepłych liści i mokrej parującej nagrzanej ziemi. Błysnęło słońce i płatki odleciały w dalekie zimne kraje.

Teraz lecą na ziemię płatki wiśni i innych drzew owocowych. Wiosna pachnie wszystkimi kolorami. Na chodniku wąskiej ulicy stoi para sztuba-

ków. Chłopak bez nakrycia głowy z krótkimi rozrzuconymi w nieładzie blond włoskami. Ma zadowoloną miłą buzię. Rumiana dziewczyna w czerwonej jesionce, na głowie biało-żółto-czerwona chusteczka. Mają niewiele więcej niż piętnaście lat. Chłopak opiera się o murowaną ścianę narożnego domu, ona o siatkę. Patrzą na siebie i uśmiechają się. Potem idą uliczką ramię przy ramieniu. Nachylają się ku sobie i ocierają policzkami. Zerkają dyskretnie ku oknom poprzez gęste zielone krzewy, które kryją ich uczucia z dołu, ale są dobrze widoczne z trzeciego piętra.

Zawrócili. Chłopiec ogarnął dziewczynę ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował w policzek. Oboje radośni, szczęśliwi, zachwyceni sobą, odurzeni wiosną, kwietniem, majem. Stają przed ścianą domu, przyglądają się zrobionemu kredą napisowi, pokazują palcami: ulica Miłości, i biegną do domu, trzymając się za ręce. Jeszcze nie zdają sobie sprawy, że ta ulica jest jak najbardziej ich ulicą.

Innego dnia o zmierzchu spaceruje tam i z powrotem kolejna młoda para. Są trochę starsi i nie zerkają już w stronę okien. Są zajęci tylko sobą. Co kilka kroków zatrzymują się, zarzucają sobie ramiona na szyję i trwają w dłuższym pocałunku, aż usłyszą czyjeś kroki. Wtedy przytomnieją i wolno idą dalej: on wisi na jej karku, ona obejmuje go w pasie. Podchodzą do ściany domu, czytają: ulica Miłości i piszą poniżej: ulica Wspomnień. Kilka dni później następna para dopisała: ulica Westchnień.

Nie zawsze przychodzą pary. Od jakiegoś czasu przed zachodem słońca pojawiała się dojrzała młoda kobieta. Chodziła długo tam i z powrotem, czekając, aż z sąsiedniego biura wyjdzie młody człowiek. Zamieniali parę słów i rozchodzili się. Z pewnością wyznaczali sobie spotkanie. Pewnego dnia, pod sam wieczór, kiedy poprzez różowe pasma delikatnych chmurek, żegnanych ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, przebijały niebieskawo-granatowe pasy nieba, pojawiła się ponownie owa kobieta. Tym razem długo, bardzo długo chodziła nerwowo wąską uliczką. On nie przychodził. Coś musiało się wydarzyć, może przestał kochać? Może inne przyczyny? Kto to może wiedzieć... Mniej więcej po godzinie kobieta podeszła do ściany domu, przyglądała się napisom, podniosła kawałek kredy, który leżał przy ścianie i dopisała: ulica Oczekiwań.

I tak mnożyły się nazwy uliczki, o których nie śniło się nawet urzędnikom z rady dzielnicowej.

Wreszcie przyszła jesień, z krzewów i drzew kapało złoto. Na uliczce pokazała się para młodziutka, którą widzieliśmy wczesną wiosną. Trochę podrosła i zmężniała, on trzymał prawą rękę na jej ramieniu, czasem nachylał jej głowę ku sobie i całował w oko. Stanęli oparci o siatkę, z uśmiechem czytając napisy na murze. Chłopak wyciągnął z kieszeni kolorową kredę i napisał: ulica Zakochanych.

I niech mi ktoś powie, że w Warszawie nie ma ulicy Zakochanych. Nad naszą Wąską uliczką unosi się duch pani Gabrieli Zapolskiej. Tylko nie dulszczyzny: tu nie ma zakłamania. Na Wąskiej uliczce są szerokie i szczere uczucia, wielkie marzenia wybiegające daleko poza jej granice, w szeroki świat marzeń i rzeczywistości. Tutaj rodzą się wstydliwe pierwsze pocałunki, o których kiedyś będą wspominać, siedząc w miękkich fotelach i ciepłych bamboszach, ludzie o siwych włosach, ze zmarszczkami pod oczyma. Nim to nastąpi, pocałunki z Wąskiej uliczki polecą w szerszy świat, na ławki parków, staną się śmielsze, staną się własnością publiczną. Potem razem z opadającymi kolorowymi liśćmi drzew znikną w domowych zaciszach, aby z nadejściem następnej wiosny wyfrunąć na światło dzienne.

Metamorfoza

Rozrastająca się z każdym dniem Moskwa mimo końca jesieni kąpała się w promieniach gorącego słońca. Upalny dzień o tej porze bywa tutaj rzadkością.

Właśnie tego dnia spocony i zadyszany mężczyzna w sile wieku z rozwichrzoną siwą czupryną wtoczył się do przedziału międzynarodowego wagonu, ułożył na półce dwie walizy w pokrowcach, otarł krople potu na czole, usiadł naprzeciw mnie i rzekł:

– Udało się.

– Co? – zapytałem.

– Zdążyć przed samym odjazdem.

– Mamy jeszcze piętnaście minut – zauważyłem. – Chyba, że pański zegarek....

– Pan myśli, że miałem czas patrzyć na zegarek.

– Miał pan coś ciekawszego?

– Nie życzę panu takich ciekawych rzeczy.

– Nie jestem Ossowieckim.

– Ja również. Gdybym nim był, nie wyglądałbym tak. Nie biegałbym jak ostatni sklerotyk od przechowalni do przechowalni za walizkami.

– Ale dlaczego po wszystkich?

– Łatwo panu pytać. Po takich tarapatach można zapomnieć nie tylko do której przechowalni oddało się bagaż, ale nawet na którym dworcu.

– Kiepska przygoda.

– Czy kiepska trudno powiedzieć, ale że bezdennie głupia to na pewno. A wszystkiemu winna ta Japonia.

– Gejsza?

– Jak tam gejsza. Zwyczajnie wracam z Japonii.

– A gdzie przygoda?

– Jaki pan niecierpliwy. Widzi pan, że mnie na razie wystarcza tego słońca, jakby go było za mało na Dalekim Wschodzie. Ten powrót tak mnie znużył, że postanowiłem wreszcie jedną noc porządnie przespać. Ale gdzie?

Rozmowę naszą przerwał posługacz z herbatą. Koła wagonu monotonnie stukały, za oknem słupy i drzewa leciały nam naprzeciw. Ziemia uciekała. Promienie jesiennego słońca padały na kołyszącą się powierzchnię płynu w szklankach.

– Gdzie pan może odpocząć? – podjął rozmowę mój towarzysz podróży. – W hotelu? Niech pan spróbuje w stolicach zajrzeć do recepcji. Miłe panienki w wielkich hotelach rozkładają z uśmiechem ręce i zostawiają nas własnemu losowi. Tylko różne prospekty i foldery wszystko obiecują. Co robi wtedy biedny tułacz? Wyciąga notes z adresami znajomych i szuka ofiary. Znalazłem. Była nią stara emerytka, która zajmowała pokój w czteropokojowym mieszkaniu z wygodami. Taki sobie kołchoz. Nawet telefon w długim połamanym korytarzu. W każdym pokoju jakaś wdowa lub bezdzietne małżeństwo. I zostałem przyjęty jako gość z otwartymi ramionami rosyjskiej gościnności. Moja emerytka trzymała na stancji trzy studentki z różnych stron kraju. W zimie odkładała ruble, by latem pojechać na daczę. Najbliższym jej sąsiadem był kolejarz o czarnej czuprynie. Zajmował z żoną identyczny pokój i często wracał z pracy o późnej porze lub w ogóle nie przychodził na noc z różnych powodów.

Po śniadaniu wyruszyłem obejrzeć różne wspaniałości Moskwy, wypiłem kilka szklanek wody sodowej z automatów i wieczorem wróciłem do gościnnego domu. Przy wejściu stało polowe łóżko, już przygotowane dla mnie. Gospodyni z dziewczętami spała w pokoju za wielką szafą....

– Już zazdroszczę panu – przerwałem.

– Czego?

– Takiego babińca.

– Życzyłbym tego panu.

– Babińca?

– Nie. Takiego noclegu.

– Nie dały panu spać?

– Odwrotnie.

– Nie rozumiem.

– Zaraz pan zrozumiesz. Po kolacji życzyłem wszystkim dobrej nocy i poszedłem na swoje polowe łóżko. Za szafą przy nikłym oświetleniu studentki po cichutku odrabiały lekcje. Po kilku minutach zapadłem w głęboki wymarzony sen. Po kilku godzinach obudziłem się. Pokój tonął w ciemnościach. Zza szafy dochodziły lekkie oddechy śpiących dziewcząt. Przewracałem się z boku na bok, a sen nie przychodził...

– Pchły – znowu przerwałem.

– Jakie tam pchły.

– Pluskwy?

– Nic podobnego.

– Już wiem: myśli o dziewczętach.

– Gdybym był w pańskim wieku.

– To co u licha?

– Po tylu płynach, rozumie pan?

– Już wiem. Siusiu, prawda?

– Nareszcie pan zrozumiał.

– Nie widzę w tym problemu.

– Oto właśnie powstał problem i to nie byle jaki. Ubikacja na końcu korytarza. Dobrze jeszcze nie znałem rozkładu całego mieszkania, a najgorsze, że nie miałem przy sobie zapałek i nie wiedziałem, gdzie są jakieś kontakty na korytarzu...

– I pan wyszedł?

– Właśnie i to było największym błędem. Zostawiłem za sobą drzwi trochę uchylone, by łatwiej trafić z powrotem. Korytarz okazał się labiryntem. Najpierw na prawo – medytowałem – potem na lewo i w końcu korytarza powinna być ubikacja. Trafiłem do kuchni i zwaliłem garnek, na szczęście pusty. Byłem w każdym razie na dobrej drodze i po kilku manewrach trafiłem do ubikacji. Czułem się bohaterem niby Paulus pod Stalingradem. Z dumnie podniesioną głową opuściłem upragniony zakątek i ruszyłem śmiało do pokoju. I tu spotkało mnie to, czego nigdy się nie spodziewałem. Szedłem powoli, trzymając się ściany. Napotykam szafę. Aha, jestem na drodze – pomyślałem – teraz prosto, potem trochę w lewo i moje drzwi. Zrobiłem kilka

śmiałych kroków, wyciągam rękę i mam nareszcie klamkę drzwi. Naciskam. Co u licha? Zostawiłem przecież drzwi uchylone. Badam dokładniej i trafiam na łańcuch: jestem przy drzwiach wejściowych. Oparłem się o nie, aby zebrać myśli do kupy. Na czole krople potu. Wytarłem je rękawem piżamy. Zacząłem się denerwować. A przecież od drzwi wejściowych już żaden problem: prosto, potem trochę na lewo i moje drzwi.

Ruszyłem. Mam moje uchylone drzwi. Wsuwam głowę i widzę dyskretnie oświetlony pokój o zupełnie innym wnętrzu. Wycofuję się na palcach, żeby nie posądzono mnie o podglądanie. Trafiam ponownie na szafę. Przestaję cokolwiek rozumieć. Podejmuję ostateczną decyzję: zapalę światło. Ale gdzie kontakt? Zaczynam posuwać ręką po ścianie. Trafiam na telefon. Posuwam się dalej, znowu szafa. Potem znowu drzwi wejściowe. Wszyscy śpią jak zabici. Nikomu niczego się nie chce. Nikt nie ma zamiaru wychodzić. Nikt nie wraca z miasta. Próbuję jeszcze raz znaleźć kontakt. Trafiam na najróżniejsze wypukłości, gwoździki i diabli wiedzą jeszcze na co, tylko nie na kontakt. Jakaś wyjątkowa złośliwość martwych przedmiotów. Ale oto zupełnie niespodziewanie napotykam moje uchylone drzwi. I moje polowe łóżko. Dobrze, że nikogo nie obudziłem. Po takiej podróży korytarzowej zapadłem ponownie w głęboki sen.

Nad ranem poczułam chłodek. Naciągnąłem koc na głowę. Wystawała jedynie moja siwa łepetyna. Zasadniczo byłem wyspany i raczej rozkosznie drzemałem. Zastanawiało mnie trochę to, że w pokoju było nadal cicho, studentki wcale nie krzątały się przed wyjściem na wykłady. A jednak, a jednak... Z błogiej drzemki zostałem raptownie wyrwany dźwiękiem rozbijającego się szkła. Jednocześnie usłyszałem spazmatyczny krzyk:

– O rety, mój mąż posiwiał!

Otworzyłem oczy. Przy drzwiach wyjściowych stała mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o niepospolitej urodzie. Jej twarzy stawała się coraz bledsza, nogi uginały się i powoli upadła na posadzkę. Była to żona sąsiada młodego czarnowłosego kolejarza, na którego czekały uchylone drzwi i takie samo łóżko, na jakim ułożyła mnie gościnna emerytka.

Parasol

Pewnego poranka męski parasol stał sobie najzwyczajniej w kącie przy oknie na klatce schodowej czteropiętrowej kamienicy przy ulicy Kapuścińskiej. W tym akurat czasie pięła się po schodach zamiatając do wewnątrz stopami starsza rumiana emerytka znana ze swoich dowcipuszków i zawodowo trudniąca się podsłuchiwaniem i podglądaniem sąsiadów przez dziurkę od klucza na rzecz pewnych organów władzy tegoż domu. Zaraz sobie pomyślała: „Parasol męski, znaczy pachnie mężczyzną, a skoro mężczyzna zostawił, to musiał być zakochany lub co najmniej trochę zalany. Na tym samym piętrze mieszka pewna młoda wdowa o twarzy czarnego ptaka, w której można się zakochać przy pierwszym wejrzeniu. Ten parasol o tym dużo mówi".

I powiesiła parasol na klamce drzwi kobiety-ptaka. Kilka minut później druga sąsiadka uchyliła drzwi, by zabrać butelkę z mlekiem, zerknęła na drzwi sąsiadki i zobaczyła na klamce parasol. „Może ktoś obcy zabrać" – pomyślała – i zabrała parasol do swojego mieszkania. Ogrzała i przytuliła parasol, bo była to pora zimowa i na klatkę schodową uderzał chłodny podmuch przez uchylone drzwi na podwórze. „Czyj to może być parasol – głowiła się nowa posiadaczka. – Skoro wisiał na klamce drzwi sąsiadki, musiał zostawić ktoś z jej znajomych. Najlepiej będzie, jeżeli ją zapytam. Będzie na pewno wdzięczna, że jestem taka troskliwa". I zadzwoniła do sąsiadki:

– Tutaj, na klamce pani drzwi wisiał parasol, może zostawił ktoś z pani znajomych.

– Nie widzi pani, że to męski parasol – rzekła oburzona kobieta-ptak. – Jak pani może posądzać mnie o przyjmowanie mężczyzn? A nawet gdyby ktoś taki przychodził, to nie nosiłby takiego szmatławego parasola. Moich znajomych stać na coś lepszego.

I zatrzasnęła drzwi przed nosem życzliwej sąsiadki.

„Trudno – pomyślała nowa posiadaczka parasola – skoro nikt go nie chce, to nie wyrzucę na śmietnik". Otworzyła i schowała się całkowicie pod jego przykryciem. Była niewiele większa od parasola. „Chociaż taki duży – medytowała – to zawsze parasol i nie będzie padać nie tylko na nos, ale także nawet na czubki butów. A że męski to trudno. Zadanie swoje spełni i tak, a na parasolkę damską szkoda mi pieniędzy. Zresztą wywieszę ogłoszenie, wcale go nie chcę zatrzymywać. Tylko nie podam szczegółów wyglądu, żeby ktoś obcy go nie wyłudził. Nim właściciel się znajdzie, niech mi na razie służy".

Nazajutrz, kiedy padał mokry śnieg, wyszła po raz pierwszy ze znalezionym parasolem do miasta. Szła ulicą i ostentacyjnie kreśliła nad głową koła parasolem, aby zwrócić uwagę przechodniów. „A nuż trafi się właściciel – myślała – będę miała czyste sumienie i spokój". Spacerowała dumnie i postanowiła wrócić tramwajem do domu.

Akurat w tym momencie, kiedy chciała wejść do wozu, chodnikiem przechodziły dwie koleżanki.

– Zobacz – krzyknęła prawie jedna z nich. – Tamta małpa ma parasol mojego starego. Teraz wiem, gdzie i u kogo mój rozpustnik go zostawił, a tak się niewinnie tłumaczył, że niby nie pamięta, może w tramwaju, może w sklepie. „Nie gniewaj się, powiada, moja kotusiu, że posiałem parasol". Już ja mu dam kotusia...

I, zostawiając koleżankę na chodniku, wskoczyła do tramwaju za kobietą z parasolem jej męża. Z napięciem wypatrywała stosownego momentu, aby go odzyskać, gdy nagle przyszło jej do głowy, że wyrwać parasol to nie sztuka, ale nie za bardzo posłuży to udowodnieniu zdrady. Lepiej zabawić się w detektywa i przyłapać ich na gorącym uczynku.

I wysiadła za kobietą, która niosła parasol jej rodzonego męża. Szła za nią aż pod jej drzwi, szukając jakoby ludzi, których nigdy nie znała. Wróciła do domu pełna zadowolenia z wykonanego zadania i spokojnie wyczekiwała na odpowiednią chwilę, obserwując dyskretnie męża – zdrajcę. „Teraz wybiję z głowy jemu i tej małpie romanse – rozmyślała z uśmiechem na ustach o nadchodzącej sprawiedliwości. – Teraz pokażę mu klub i zebrania po pracy. Pokażę mu kochaneczkę i to jeszcze jaką. Gdyby chociaż była młodsza i ładniejsza ode mnie, to jeszcze by nic nie mówiła. Czasem trzeba pogodzić się z losem.

Ale z takim małym i starym pypciem? Gdzie jej do mnie! A zresztą mężczyźni znani są z zamiłowania do byle lafiryndy. Ale cię, koteczku, urządzę, aż się będzie kurzyć... Będziesz mi leciał z parasolem jak odrzutowiec... Chyba, że ten parasolek rozleci się na kawałeczki o twoją łysiejącą główeczkę...".

I spojrzała na męża, który najspokojniej w świecie przeglądał codzienną prasę, której nie zdążył przeczytać w biurze.

– Ty sobie najspokojniej w świecie czytasz – nie wytrzymała żona – a parasola nie szukasz. Tyle kosztował. Gdzie kupisz taki drugi? Ale co to dla ciebie znaczy. Ma się te zaskórniaki, no nie? A może wiesz, gdzie on spokojnie odpoczywa i czeka na ciebie?

I o mały włos nie wymówiła ulicy Kapuścińskiej. „Lepiej tam na miejscu – ugryzła się w język – rozprawić się z obojgiem i tak, żeby mój kotuś nie mógł się z niczego wywinąć...".

I znowu spojrzała ironicznie w stronę męża, który wyczuł na sobie jej przenikliwy wzrok.

– Czego ty stale, żonusiu, z tym parasolem. Już wytrzymać doprawdy nie można. Kiedyś się znajdzie jakoś sam....

– Wiem, wiem, koteczku, że się znajdzie. Wystarczy tylko na chwileczkę wyskoczyć wieczorkiem na ulicę...

– Co ty pleciesz, kochasiu – sapnął mąż, odrywając się od lektury akurat w najciekawszym miejscu. – Coraz do moich uszu dochodzą jakieś tajemnicze pomruki niby gromy.

– Ja wiem, kochasiu, dobrze, co i się roi w głowie, niby te mrówki co spać nie dają...

– Zrobiłaś się ostatnio strasznie nerwowa i zagadkowa. O głupi parasol tyle szumu...

– Żeby tylko o parasol – rzuciła dwuznacznie i ucichła z ironicznym uśmiechem.

Na trzeci dzień mąż wrócił z pracy trochę wcześniej niż zwykle i oświadczył, że jest proszony do klubu na brydża kawalerskiego.

– Nikt cię nie zatrzymuje – rzekła żona i pomyślała: „Już ja ci zagram w brydża, koteczku. Już ja cię przypilnuję, koteczku".

Po obiedzie mąż zmienił ubranie, przyczesał włosy, ucałował swoją żoneczkę i znikł. Odczekała około dwóch godzin, wyszła na ulicę, wsiadła do

tramwaju i pojechała prosto na Kapuścińską. Zapukała. Cisza. Zapukała mocniej. Cisza. „Aha – pomyślała – nie otworzy małpa lub przedtem go schowa do szafy". Nagle usłyszała kroki.

– Kto tam? – odezwał się głuchy głos zza drzwi.

– To ja, pani mnie nie zna, ale mam bardzo pilną sprawę do pani. Nich się pani nie obawia.

Z łoskotem spadł łańcuch i uchyliły się drzwi. Nasza zazdrośnica wkroczyła pewnym krokiem do przedpokoju i rzekła głośno:

– Gdzie on jest?

– Kto, proszę pani?

– Ten łajdak.

– Jaki łajdak?

– Ten rozpustnik, ten mój mąż, który niby to zgubił parasol.

– Jaki parasol?

– Niech paniusia nie udaje niewiniątka. Za stara jestem, żeby nie wyznawać się na tych sprawach!

– Może pani z ogłoszenia?

– Co mi tam ogłoszenie. Wystarczy, że pani z nim paraduje po mieście.

– Z kim ja paraduję?

– No z tym parasolem, co niby to mój mąż przypadkowo gdzieś zostawił.

– Ja go znalazłam...

– Już ja się domyślam w jaki sposób go paniusia znalazła. Zgubiłem, powiada, niewinny baranek, zgubiłem, kotuchna, powiada. Nie gniewaj się, powiada, żonusia. Niech no pani pokaże mi tego nicponia. Ja mu tylko leciutko natrę uszu. Do pani zresztą mogę nie mieć wielkiej pretensji. Pani też istota żyjąca i potrzebująca. Mógł pani naobiecywać Bóg wie co. Nie jedna to wierzy takim rozpustnikom. Gdzie ostatecznie on jest?

– Kto?

– No, mój mąż.

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– A parasol?

– Nie wiem czyj.

– Ale ja wiem. Wiem, ile kosztował i jak wygląda. Taki wielki z ładną rączką i ładnym materiałem. Takiego parasola pani nie kupi w byle sklepie.

– Parasol to mogę pani oddać, ale co do męża, to może pani się wypchać. Na oczy nie widziałam właściciela tego parasola.

Weszła do pokoju, sięgnęła do szafy po parasol i wręczyła go kobiecie, która wyskoczyła na ulicę niby z procy przyciskając do siebie parasol. Połowiczne zwycięstwo nie wprowadziło jej w dobry humor. Wróciła do domu, jednak męża jeszcze nie było. Schowała parasol jako dowód wiarołomstwa i zajęła się gospodarstwem. Poszła wcześniej spać. Nie mogła zasnąć. Myślała o niespodziance, jaką sprawi mężowi parasolem i ciekawa była jego wykrętów z namacalnego dowodu zdrady.

Nasłuchiwała. Około północy zgrzytnęły klucze w zamku i lekko zalany mąż wtoczył się do przedpokoju. Żona zerwała się z łóżka, chwyciła parasol i pośpieszyła na spotkanie męża. „Ale mi się będzie tłumaczył" – cieszyła się z góry chociaż z takiego zwycięstwa.

– Żonusiu kochana, już nie będziesz gniewać się na swojego tatusia. Zobacz, kochasiu, co ja mam – wybełkotał zdrajca.

I pokazał jej swój parasol, który kiedyś zostawił w jednym z klubów. Tymczasem żona w wyciągniętej oskarżycielsko ręce trzymała przed nim taki sam parasol.

– A to co? – zapytała.

– Kochana żonusiu, nie jestem, zdaje się, znowu taki zalany, a jak Bozię kocham widzę dwa parasole.

Kotek

Było pochmurnie, wietrznie i deszczowo. Kolejne jesienne popołudnie, kiedy szybko zapada mrok i w powietrzu snuje się tęsknota za długim, ciepłym dniem.

Siedząc w fotelach przy stojącej lampie, mąż i żona czytali książki. Prawdę powiedziawszy, żona trzymała raczej książkę na kolanach, wbijając wzrok w ścianę i wytężając słuch do granic możliwości.

– Piszczy – powiedziała.

– Co ci znowu piszczy? – odezwał się mąż unosząc głowę.

– Piszczy kotek.

– I co z tego?

– Mógłbyś pójść i zobaczyć. Pewno głodny i zmoknięty. Albo zgubił matkę, albo okropni ludzie wyrzucili z domu. Dzieci biorą dla zabawy. Znudził się i potem wyrzucają do ogrodów.

– Przecież nie zastąpię mu matki. Zresztą ogródek ogrodzony i zamknięty.

– To weź klucz od dozorcy. Kotek siedzi w okienku jednej z piwnic przy koksie.

– Skąd wiesz?

– Bo już go widziałam przed zmrokiem.

– To daj mi spokój – powiedział mąż i wetknął nos w książkę.

– Jesteś okropny i bez serca – przemówiła do męża. –Trzeba go zawołać i dać mu jeść.

– Rób co chcesz i daj mi spokój. Jesteś pod tym względem specjalistką i możesz sobie poradzić bez mojej pomocy. Bylem ja o niczym nie wiedział.

Nastąpiło milczenie, które zresztą długo nie trwało. Zamiast książki mąż czytał z twarzy żony rozpacz w stosunku do kociaka i złość pod własnym adresem.

– Niedobry jesteś i nie masz serca – powiedziała.

Poszła do przedpokoju, narzuciła na siebie starą jesionkę i opuściła mieszkanie.

Upłynęło może pół godziny, kiedy otworzyły się drzwi i w przedpokoju stanęła żona zmoknięta jak kura. W zabłoconych rękach trzymała kurczowo małego czarnego kociaka, który wytrzeszczał wielkie zielone oczy.

Weszła do kuchni, wytarła kociaka i posadziła nad spodeczkiem mleka. Chlipnął parę razy i usiadł w kącie stołu przy ścianie. Nie wyglądał na wygłodzonego. Miał wielkie sterczące uszy i był podobny do nietoperza. Po godzinie tak się oswoił, że niebawem znalazł się najpierw na ramionach żony, skąd powoli próbował wspiąć się na jej głowę. Nie był to z pewnością kociak z rodziny dzikich, tylko podrzucony. Po jakimś czasie było go wszędzie pełno i najbardziej upodobał sobie ostrzenie pazurów o dywan. Zaczął w ogóle popisywać się swoimi wszelakimi umiejętnościami cyrkowymi, chcąc widocznie zaskarbić w ten sposób życzliwość nowych gospodarzy.

Po dwóch godzinach mąż miał dosyć i z drżeniem serca wyobrażał sobie dalszy przebieg wydarzeń. Czekał na decyzję żony co do przyszłych losów kociaka. Niczego wesołego się nie spodziewał. Tymczasem twarz żony promieniowała zadowoleniem i błyskami wielkiej nadziei. Miała wszakże obawy co do zachowania męża, które niczego dobrego nie wróżyło, bowiem coraz niespokojniej chodził po pokoju. Wreszcie nabrała odwagi i rzekła:

– Może by tak do wiosny?

– Co do wiosny? – odpowiedział pytaniem.

– No przetrzymać go do wiosny, a potem wypuści się do ogródka.

– Ja cię znam, kochana żoneczko. Tobie aby się zaczepić. Ty nawet po tygodniu nie będziesz mogła z nim się rozstać. Znam aż za dobrze twoje czułe serduszko i brak siły woli co do zwierząt. Myślisz, że mnie tak łatwo się rozstawać ze zwierzętami, ale zazwyczaj trzeba w tych sprawach wykazać więcej rozsądku niż uczucia, inaczej wszystko przepadnie. Lepiej od razu przeciąć.....

– Co znaczy od razu? – przerwała mu żona.

– Lepiej zaraz go wynieś na podwórko i zostaw gdzieś w suchym kącie. Możesz mu dawać jeść, nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę znowu latami mieć kota na stole i talerzach, nie chcę mieć zasikanych kątów. Chcę pożyć jakiś czas po ludzku.

– Jesteś okropny. Jesień, deszcz, chłód i nadchodzi zima. On zginie.

– Daj mi spokój. Nic nie chcę wiedzieć, co z nim zrobisz.

Twarz żony skurczyła się. Najpierw zbladła, potem poczerwieniała. Mąż tego nie widział, bo prowadził z nią dialog poprzez matowe okno w kuchni do pokoju.

– Będziesz miał go na sumieniu – odezwała się z kuchni.

Udał, że nie słyszy.

Wyszła. Deszcz wciąż padał. Wiatr kołysał bezlistne gałęzie drzew. Na dworze panowała przysłowiowa psia pogoda. Kobieta z kotkiem miotała się po podwórku, nie mogąc znaleźć zacisznego kąta. Wszędzie było chłodno i mokro. Każde miejsce wydawało się grobem dla zwierzaka, który uczepiony pazurami jesionki swojej zbawczyni nie miał najmniejszej chęci na rozstanie. Nie mogła podjąć żadnej konkretnej decyzji i wróciła z powrotem do domu z kotkiem.

Mąż najpierw poczerwieniał, potem zbladł, znowu poczerwieniał i ledwo wymówił przez zaciśnięte usta:

– Precz mi z kotkiem.

Żona utkwiła w mężu wzrok zdolny zabić. Po jej ciele spłynął zimny nerwowy dreszcz, nie odezwała się jednak ani słowem i wyszła.

Półprzytomna chodziła po podwórku z kotkiem. Obeszła dokoła przy ogrodzeniu. Żadnej nadziei, żadnej możliwości. Chociaż deszcz trochę ustawał, nadal niemiłosiernie kapało z wierzchołków drzew. Na betonie potworzyły się kałuże. „Co robić? Co robić?" – kotłowało się w głowie kobiety. „Przecież jeżeli go zostawię to i tak zginie z głodu i chłodu. Straszne. Nie do zniesienia. To wszystko ponad moje siły".

Przed oczyma stanął jej zły mąż, obraz prześladujący ją niczym jesienny deszcz. Rzucała się z kąta w kąt podwórka i nie widziała żadnego wyjścia. Do głowy zaczęły jej napływać szalone, okropne myśli: „Jak ma zdychać powoli, lepiej żeby zginął od razu, raptownie. Ale jak? Małe kociaki i pieski topią i przechodzą do porządku dziennego. Ten już spory i wszystko rozumie. Patrzy na świat i chce żyć jak każde narodzone stworzenie".

Była bliska obłędu. Zaczęła się obawiać, że nadejdzie kres jej cierpliwości i wytrzymałości i podejmie okrutną decyzję. Przesunęła delikatnie palce w stronę szyjki kotka, który nie zdążył nawet pisnąć. Główka opadła, parę krótkich skurczów ciałka i czarne stworzonko zwolniło pazurki z jesionki, której przedtem kurczowo się trzymało. Podeszła do pojemnika na śmieci, położyła martwe ciałko i przykryła je mokrymi papierami.

Wróciła do domu milcząca i drżąca. Mąż nie zauważył, że żona miała lekko zadrapane dłonie i że jej palce nerwowo skręcają się niby sznurki. Nie wyczuł nawet, jaki niepokój wniosła z podwórza po zrealizowaniu swojej okropnej szalonej decyzji. Zdawał się niczego nie dostrzegać lub po prostu nie chciał niczego widzieć ani słyszeć jakichkolwiek wyjaśnień w tej sprawie. Wystarczyło, że wróciła sama.

Tego wieczoru nie jedli kolacji. Panowało milczenie, można rzec, grobowe. Mąż poszedł spać do swojego pokoju. Żona nie szykowała sobie posłania, wiedziała bowiem, że i tak tej nocy nie zaśnie. Bała się położyć do łóżka. To siadała w fotelu, to znowu wstawała i chodziła po pokoju. Popełniony czyn nie dawał jej spokoju. Czuła się zbrodniarką. Tego jej nikt nie przebaczy i w ogóle nie ma niczego na swoje usprawiedliwienie. Całe życie będzie skazana na udrękę i nie zdoła normalnie spojrzeć mężowi w oczy, chociaż to on pchnął ją do zbrodni... Różne myśli kotłowały się po głowie żony, gdy szukała dla siebie jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Na próżno. Potęgowało się za to oskarżenie i bliska była jakiegoś szoku nerwowego. Miotała się po pokoju niby śmiertelnie ranne zwierzę. I rzeczywiście rana była głęboka, sięgała dna duszy i wszystkich zakątków jej drżącego ciała. Utraciła nieomal zdolność logicznego myślenia.

Żeby przynajmniej mogła zwierzyć się komuś ze swojego czynu. Komuś odkryć prawdę. Zamienić z kimś ze dwa słowa. Może wróciłaby jej równowaga ducha. Choć na chwilę. Niestety, mogła tylko krzyczeć do ścian i jesiennej ciemnej nocy. Dochodziła północ, wszyscy spali. Jej myśli nieustannie błądziły od martwego kotka do chrapiącego męża w drugim pokoju przy uchylonych drzwiach. I to chrapanie raniło ją niby ostry sztylet. Żeby chociaż spokojnie spał lub po prostu leżał. Byłoby jej trochę lżej. Miałaby przynajmniej złudzenie, że w jakikolwiek sposób bierze udział w jej utrapieniu. A on chrapie, jak po dobrej zabawie. Zaczynało ją to coraz bardziej drażnić, wciskało się do mózgu na podobieństwo jakiegoś ostrego narzędzia, którego nie

można się pozbyć. Była już u kresu wytrzymałości. W ogromnym napięciu zaciskała kurczowo palce.

Zajrzała do pokoju męża. Leżąc na wznak, chrapał, jakby nie spał co najmniej od miesiąca. Przez szparę w zasłonach światło ulicznej latarni padało akurat na jego twarz. Leżał nieruchomo, tylko grdyka lekko wznosiła się i opadała, opadała i wznosiła. Żonę drażniła beztroska i głęboki sen męża, wywołując w jej skotłowanych myślach nieopisany chaos. Wtedy podpowiedział jej chyba diabeł: „Chcesz odzyskać spokój, złap tymi grzesznymi palcami za gardło śpiącego, zaciśnij je z szatańską siłą wokół jego szyi i nadejdzie koniec twojej udręki. Inaczej nie zaznasz spokoju i myśli twoje będą zawsze krążyć wokół jednego punktu, który stanie się twoim unicestwieniem".

Przestraszyła się tych strasznych myśli i wyszła z pokoju męża. Diabeł ruszył za nią, nie przestając szeptać do jej ucha. Miotała się od ściany do ściany i obijała o meble w nieoświetlonym pokoju. „To on mnie pchnął na drogę zbrodni", próbowała znaleźć usprawiedliwienie. „Właściwie to on jest zbrodniarzem, a ja tylko narzędziem zbrodni", zapewniała się, szukając wyjścia z sytuacji.

Przekonanie o winie męża potęgowało się z minuty na minutę. Stopniowo rodziła się w niej nienawiść do niego, do człowieka, który pchnął ją na drogę zbrodni, przez co straciła siebie taką, jaką była wcześniej. Pogrążyła się w otchłań bez wyjścia. Jedynym ratunkiem było zniszczenie sprawcy własnego upadku. Zniszczenie przyczyny choroby, żeby odzyskać zdrowie.

Ponownie weszła do pokoju męża. Nadal chrapał, leżąc na wznak. Widziała tylko jego głowę i szyję. Podeszła do tapczanu i popchnięta jakąś zewnętrznym przymusem wyciągnęła ku niemu ręce. Palce jej rąk kurczowo zaciskały się i otwierały. W głowie czuła zamęt i nieprzepartą chęć zniszczenia zła, które stało się przyczyną jej zatracenia.

Nie pamiętała, kiedy z niezwykłą siłą zacisnęła palce na szyi męża. Jakaś szatańska moc dokonała dzieła, do którego nigdy nie byłaby zdolna nawet w stosunku do największego wroga. Opuściła bezwładnie ręce i poczuła coś w rodzaju ulgi. Była bliska omdlenia, z oczu błysnęły jej jasne promienie i oświetliły pokój. Pod czaszką poczuła ciepło i raptem znalazła się w odurzająco pachnącym, pełnym białego kwiecia świecie. Świecie niesamowitego spokoju i błogości.

Ugięły się pod nią nogi i bezwolnie usiadła na podłodze. Zaczęła się śmiać, najpierw głośno, potem przechodząc powoli w łagodny szczęśliwy uśmiech. Przeniosła się do krainy wiecznej wiosny pozbawionej jakichkolwiek życiowych trosk. Otoczyła ją jasność i niczym niezmącona radość.

Spis treści

Tatarski pisarz 5

Baku, walka i miłość 9
Pod niebem Kaukazu 35
Kanarek 67
Podróż donikąd 71
Kura 77
Białe róże (tryptyk okupacyjny) 81
Wąska uliczka 99
Metamorfoza 105
Parasol 109
Kotek 115



Zapraszamy do lektury książek i czasopism
wydawanych przez
Najwyższe Kolegium Muzułmańskie MZR w RP

Biblioteka tatarska on-line
www.bibliotekatatarska.pl

Biblioteka muzułmańska on-line
www.bibliotekamuzulmanska.pl